

MAZEPA  
HETMAN UKRAINY.

POWIEŚĆ

PR. XAW. TROZYŃSKIEGO.

WZNIEN.

DRUKIEM I. K. S. S. A. 93 JAROSŁAWA LETOUBGA.

1866.

243

60 Kop.



# MAZEPA

## HETMAN UKRAINY.

POWIEŚĆ

PRZEZ

FR. XAW. TUCZYŃSKIEGO.

Szabla przy mnie, koń mój przy mnie—

W pasie kindżał ostry nowy:  
Nie — nic w życiu nie chcę więcej!.....  
Wolę niżli panów panem  
Ukraińskim być i

11

214.



131549

## I.

Wspaniale srebrny Dniestr toczy swe nurty i spłókuje wysokie i skaliste wybrzeża, szumiąc wśród gęstych zarośli trzciny, któremi brzegi miejscami zarosły. A w owój trzcinie trzepoce się niezliczona ilość kaczek, cyranek i innego ptastwa, napełniającego okolicę echem ich rozmaitego krzyku. Słyszy to lis stepowy, skrada się w trzciny i jary, ale próżne jego mozoły, próżna oskoma, bo pomiędzy nim a ptastwem woda stawia mu nieprzebytą tamę.

Właśnie słońce zniża się ku zachodowi i swemi czerwonymi promieniami nadaje srebrzystości wody niezrównaną barwę, a szczyty gór, ciągnących się po prawej stronie, zapala złotawym ogniem. Gwar się coraz powiększa, całe stada uwijają się po nad powierzchnią wody, — wysoko odzywają się całe sznury żurawi, — z boków bębnią bekasy, — a z powierzchni wody donośnie odpowiadają im nury.

Naraz powstaje gwar tém większy, wzmocniony, niby z przerażenia, — a potem wszystko ucicha... Czy ich spłoszyło drapieżne zwierzę?... czy widzą grożące im niebezpieczeństwo?

To głośny tętent kopyt końskich sprawił takie zamieszanie w narodzie ptasim. Z lasu ciągnącego się po lewej stronie rzeki wypadło cwałem kilku konnych jeźdźców. Zwolniwszy koniom cugli jechali słabym kłusem po nad brzegiem w dół rzeki.

Przodem o kilka długości konia jechało dwóch mężczyzn. Jeden z nich, na jabłkowitym rumaku, brodaty, silnej postawy, zdawał się należeć do stanu rycerskiego. Twarz jego zdradzała charakter dziki, wzburzone namiętności, a oczy brwią zakryte paliły nieopisanym ogniem.

Towarzysz jego stanowił swą postacią całkowite przeciwieństwo. Na pierwszy rzut oka poznać można, że jest obcokrajowcem, i że konna jazda nie należy do jego codziennych zatrudnień. Ubiór na nim czarny, opięty, a na głowie kapelusz okrągły, także czarny. Twarz długa, sucha, ciemna, z garbatym nosem, na którym potężne okulary z niebieskimi szklami lśniły w promieniach zachodzącego słońca. Owe okulary zdawały się być zasłoną, aby nie dojrzeć oka, ani jego wyrazu pod szklami. Usta jego wąziutkie tworzyły ciemną linią wzdłuż twarzy, na której najmniejszego nie było zarostu.

Pierwszym był Dagomir, pan włości na pograniczu Podola, drugim Antonio Gambino, lekarz i alchemista, rodem Włoch.

Obaj jeźdźcy jechali obok siebie czas niejaki w milczeniu. Naraz Dagomir zatrzymał konia.

Było to na nagłym zakręcie rzeki, z téj i téj strony gęstym ocienionój jarem, z pomiędzy którego bielutki, jakby z marmuru, wystrzelał w górę dworek. Słońce ostatniemi promieniami oświetlało szyby w oknach, które odbijając promienie, zdawały się być gorejącemi pochodniami.

— Otóż jesteśmy u celu! — odezwał się Dagomir.

Włoch miasto odpowiedzi poprawił okularów na nosie.

— Moja to włość, ciągnął dalej Dagomir, i nie mogę jój żadną miarą pozbywać, owszem muszę ją napowrót do mych dóbr przyłączyć.

— Stanie się to, — zapewnił Włoch, mówiąc przez nos, jakby był zakatarzonym.

— Tego się też spodziewam — odpowiedział Dagomir i mam od ciebie prawo tego wymagać. Pierwszą połowę zapłaty już masz, drugą dostaniesz po załatwieniu sprawy.

Na te słowa Włoch sięgnął mimowolnie ręką do kieszeni, jakby się chciał przekonać, czy sakiewka z dukatami jeszcze się tam znajduje. Śnać badanie dobrze wypadło, gdyż skrzywił twarz, co u niego miało wyobrażać uśmiech zadowolenienia.

Tymczasem pozostałych w tyle czterech jeźdźców dojechało, i razem spuścili się z górki ku miejscu przeznaczenia.

Wjechali najprzód w mały lasek i stanęli przed bramą obmurowanego pałacyku. Dagomir po-

chwycił za wiszący młotek, zapukał, brama się otworzyła i stanęli na dziedzińcu.

Podczas kiedy służba przybiegła z pomocą do zsiadania, zwrócili goście oczy na chłopca stojącego na ganku i przypatrującego się pilnie przybyłym. Ubrany był w żupanik, na którym błyszczał pasek z srebrną śpinką i zwieszała się blaszana szabelka. Chłopczyk niewiedomo czemu lewą ręką ujął rękojeść szabelki, a prawą pochwycił magierkę, witając przybyłych takim wzrokiem, jakby jaki magnat witający łaskawie swych klientów.

Dagomir spojrzał na chłopca.

— A owoż nasz Mazepa! — syknął w stronę ku Włochowi.

Ten poprawił okulary, spojrzał bystro przez szkła na chłopca, lecz milczał.

Wtém na ganku ukazała się druga osoba. Była to niewiasta licząca około lat trzydziestu, lecz tak świeża i piękna, że zdawała się o wiele młodszą.

— Matko, — zapytał Mazepa, — cóż to za goście?

Lecz matka nie miała czasu odpowiedzieć, gdyż Dagomir wchodził już na ganek, a za nim przy ustawicznych ukłonach sunął chudy Włoch. Dagomir spojrzawszy zyzem na chłopca, przywitał zimno matkę Mazepy, przedstawił Włocha, i wszyscy, prócz chłopca, udali się na pokoje.

Mazepa wcale na to nie zważał, tylko pobiegł do koni, które odprowadzono do stajni. Chętnie byłby którego dosiadł, ale mu tego wzbroniono, a dumny chłopiec do próżb zniżyć się nie chciał.



Kiedy się wrócił, udał się do komnat matki. Tam zastał tak Dagomira jak i Włocha.

Stanąwszy w progu chwilę się przypatrywał obudwom gościom. Dagomira zdawał sobie przypominać, ale Włocha widział po raz pierwszy.

— Jakże, Mazepo, — zawołała matka, — nie przywitasz twego stryja i opiekuna?

Mazepa zwolna doszedł do opiekuna i widocznie z niechęcią podał mu rękę.

Zauważył to Dagomir.

— Acha! — zawołał z udaną wesołością, — już w tak drobnym robaczku płynie krew dumna. No, mój chłopcze, zostanę tu na kilka dni, to się poznamy bliżej.

I Włoch się podniósł, wyciągając do Mazepy rękę, ale Mazepa spojrzawszy nań z pod brwi namarszczonych, odwrócił się i poszedł do matki.

Włoch nie mówił, ale widocznie muszkuły twarzy jego zadrgnęły.

— Zuzanno, odezwał się teraz Dagomir, syn twój ma już lat dwanaście, nieprawda?

— Tak jest, potwierdziła matka Mazepy, lecz dla czegoż to pytanie?

— Bardzo jasna rzecz, — odpowiedział Dagomir, — niepodobna, aby chłopak tak żywy pozostawał na zawsze w opiece niewieściej. Trzeba mu dać męskie wychowanie.

— O, co do tego, zauważyła Zuzanna, obawy nie ma, aby zniewiesiał, gdyż w moich domownikach ma najlepszych mistrzów.

— Nie z tego, odparł opryskliwie opiekun, na dłuższy czas to nie wystarcza... Pomówimy o tem później.

Mazepa ze zdumieniem patrzył na swego opiekuna, nie mogąc pojąć co to znaczy i mimowolnie przytulił się do matki.

Widocznie niezadowoleni ze siebie nawzajem, rozeszli się niezadługo, udając się do swych komnat.

Zuzanna wzięła Mazepę ze sobą.

— Kochane dziecko, — rzekła, bądź dla twego opiekuna uprzejmym, bo to brat twego ojca.

— Matko! — zawołał chłopczyk, — chętnie chciałbym... ale... ale on mi się nie podoba.

— I cóż w nim takiego widzisz?

— Nie wiem, to tylko wiem, że mu z ócz bardzo źle patrzy. A ten chudy ze szklanemi oczyma...

— Wszystko jedno, — napomniała go matka, nie sądź nigdy z pozoru.

Tymczasem Dagomir przechadzał się ze założonemi rękoma po komnacie.

— Niech będzie, jak postanowiono, — rzekł sam do siebie, — w niczem się nie cofnę. Najprzód co starszego na bok, a potem da się i z młodszym rada, i najmniejsze nie padnie podejrzenie.

Nazajutrz rozeszła się wieść po okolicy o przybyciu Dagomira, i zjechało się kilku panów na jego powitanie. Wczorajszy przymus znikł jakoś i wesołość zapanowała. Jednakże Zuzanna nie mogła utaić jakiejś wewnętrznej obawy, a wesołość jéj była udaną. W czasie obiadu wodziła oczyma na

około, szukając Mazepy, lecz ten biegał z małym łukiem po podwórzu.

Wesoła rozmowa, jaka się toczyła pomiędzy biesiadnikami, mało ją obchodziła, za to tem pilniej przysłuchiwała się poważnym zdaniom Włocha. Ten opisywał jej swój kraj rodzinny, wychwalając wszystko, a mianowicie przepyszne kwiaty.

— Jesteś pani lubowniczką kwiatów? — zapytał Włoch niby od niechcenia.

— Bardzo wielką, — odrzekła mechanicznie Zuzanna.

Włoch na te słowa spojrział po biesiadnikach. Wszyscy zajęci byli żywą rozmową z Dagomirem, który starał się widocznie zająć ich uwagę. Zresztą, prócz Zuzanny nie było przy stole żadnej innej niewiasty.

Wtedy Włoch sięgnął do kieszeni swęj długiej opończy i wydobyl małe pudełeczko.

— I jam miłośnikiem kwiatów, mianowicie róż, — rzekł otwierając pudełeczko, — zawsze muszę ze sobą jeden z tych nadobnych kwiatów wozic... Ta naprzykład jest jeszcze z méj ojczyzny, a chociaż zwiędła i zeschła, och! jak cudnie jeszcze pachnie!... czy pani raczy się przekonać?

To rzekłszy pochwycił różę ostrożnie za szypułkę i podał grzecznie Zuzannie.

Ta mechanicznie odebrała różę, powąchała... ach! istotnie jaki przyjemny zapach... Powąchała jeszcze raz i drugi i trzeci, a potem różę zwróciła właścicielowi. Ten szybko włożył ją do pudełka i czempredzej schował do kieszeni.

Nikt tego nie uważał, z wyjątkiem Dagomira,

który jednakże szybko oczy odwrócił i urwał opowiadanie.

Tymczasem Zuzanna nagle pobladła, chciała się szybko unieść, lecz z przytłumionym okrzykiem padła omdlała na ziemię.

Zerwali się wszyscy ku ratunkowi, — Włoch pierwszy, a tymczasem Dagomir zakrzyknął na służbę. Przypadły niewiasty, ujęły omdlałą i uniosły do jęj komnaty. Goście pozostali w komnacie jadalnej, tak jak byli zgromadzeni, z wyjątkiem Włocha, który, jako lekarz, podążył za chorą.

Tu gdy ją na łożu złożono, wlał jęj w usta jakiegoś płynu orzeźwiającego, potem używał wszelkich sposobów, aby ją przywrócić do życia.

Ale to wszystko napróżno.

Goście niecierpliwie oczekiwali Włocha. Skoro wszedł, wszystkich oczy zwróciły się na niego, badając jego twarz, aby z nięj wyczytać co się stało. Lecz twarz jego była nieruchoma, zimna jak zawsze.

— Jakże? — zapytał krótko Dagomir.

Włoch wzruszył ramionami.

— Po wszystkim, — rzekł, — paraliż sercowy!

— Paraliż! — zawołano ze zgrozą.

— Więc umarła? — pytał znowu Dagomir.

Włoch kiwnął głową.

— Umarła! — potwierdził, — ratunek był niemożliwym!...

Wieść ta jak piorun uderzyła w zgromadzonych. Wszyscy, przed chwilą tak weseli, opuszczali czempredziej dom żałoby, smutni i zamyśleni.

Pozostali tylko Włoch i Dagomir.

— Powiodło się dobrze? — zapytał teraz Dagomir Włocha.

— Wybornie.

— Ale pamiętaj, ciągnął dalej Dagomir, że nie chciałbym jój śmierci.

— Nie obawiajcie się, panie, — zareczył Włoch, — jakem przyrzekł, tak się stanie. Na moje wiadomości ze wszystkim spuścić się można.

— Więc dobrze, rzekł na to Dagomir, nie pożałujesz tego.

Niedługo potem, gdy Dagomir sam się nacznie o śmierci Zuzanny przekonał, zwołał wszystkie sługi na wielką salę.

— Podobało się Panu Bogu, — rzekł smutnie, — zesłać na nas wielkie nieszczęście. W smutku jednakże nie powinniśmy zapomnieć o naszych doczesnych stósunkach i nie zezwolić na rozprzężenie, któreby w braku kierującej głowy niechybnie nastąpiło. Otóż oznajmiam wam, że tymczasowo w imieniu małoletniego Mazepy, ja, jako jego stryj i opiekun, obejmuję zarząd posiadłości, i mnie wszyscy od téj chwili winniście posłuszeństwo.

Służba się nisko swemu nowemu panu skłoniła, gdy wtem wpadł nagle zapłakany Mazepa.

— O! stryju, — wykrzyknął, — gdybyś ty nie był przyjechał, nie byłaby matka moja umarła!

— Co ci się marzy, chłopcze! — zawołał zmienionym głosem Dagomir.

— Tak, ty i ten Włoch zabiliście matkę! — powtórzył zanosząc się od płaczu chłopiec.

Włoch przystąpił do niego, aby go ukoić, ale chłopiec go odepchnął i wybiegł ze sali, a za nim powychodzili słudzy, szepcząc sobie i czyniąc uwagi nad zdaniem Mazepy.

Trzeciego dnia orszak żałobny ciągnął zwolna ku najbliższemu klasztorowi, gdzie w grobowcach miały być złożone zwłoki Zuzanny. Dagomir był w orszaku, Włoch zaś i Mazepa pozostali w domu. Ostatniego nie chciał Dagomir brać ze sobą, bo ciągle powtarzał, że on z Włochem byli przyczyną śmierci jego matki.

Kiedy Dagomir z domownikami wrócił z pogrzebu zastał na ganku nie mały zgiełek. Włoch szarpał Mazepę i ciągnął go za sobą, a Mazepa całą siłą się temu opierał.

— Cóż to znaczy? — wrzasnął Dagomir.

— Matka moja żyje! — krzyknął Mazepa, zanim Włoch zdołał co przemówić, — widziałem ją przez szpary okiennicy... tam w lochu... siedziała na krześle...

— Zwaryował! — zawołał Włoch.

— Zwaryował! — domówili drudzy.

— Śnił na jawie! — rzekł Dagomir, — dajcie mu czas do spoczynku.

To rzekłszy chwycił go silną ręką i zaniósł do ostatniej izby, gdzie go na klucz zamkniętego pozostawił.

Jeszcze téj saméj nocy wyjechał Mazepa na wozie w towarzystwie Włocha do włości swego opiekuna na wychowanie.

\*

\*

\*

W kilka dni później doniesiono przeorowi klasztoru o dziwnem opowiadaniu Mazepy. I przeor uznał to za złudę natężonej wyobraźni. Jednakże po jakimś czasie udał się z kilku zakonnikami do sklepu, gdzie stały zwłoki niebożczycy. Otworzono trumnę.

Ale ta była próżna!

Okrzyk zdziwienia wyrwał się z ust przytomnych. Tego zdarzenia jednakże inaczej sobie nie tłumaczono, jak tylko, że świętokradzka ręka zwłoki uniosła, aby je wygodnie i w bezpiecznem miejscu obrać z kosztowności. Ażeby nie robić próżnego rozgłosu przeor zdarzenie to zachował w tajemnicy.

## II.

Noc była bardzo burzliwa. Po dniu parnym nadciągnęły chmury, grzmot rozległ się po lasach i górach, a wzmocniony stugardłowem echem, huczał straszliwie. Błysk po błysku rozdzierał ciemności i oślepiał karawanę, składającą się z trzech wozów i kilku jezdnych. Chmury całemi strumieniami lały swe wody na ziemię, a wiatr hucząc miotał deszczem na wszystkie strony.

Karawana zwolna ciągnęła drogą wijącą się górzystym lasem. Konie chrapając brnęły we wodzie. Jeźdźcy z podniesionemi kołnierzami i czapkami na twarz zapuszczonemi jechali w milczeniu. Wozy przykryte były namiotami płóciennymi.

Z pod namiotu ostatniego wozu postać jakaś wytknęła głowę i oczyma starała się przebić ciem-

ność nocy. Nic nie było widać, tylko górą jaśniejszy pas... to pochmurne niebo, rysujące się jaśniej od otaczającego lasu. Widocznie przy wozie jechał ktoś konno, bo słychać człapanie, ale samego jeźdźca nie widać.

Postać wysunęła się z pod namiotu jeszcze więcej... jeszcze więcej... ześlizgnęła się z woza na ziemię... i znikła w ciemnym lesie.

Wozy posuwały się dalej, nikt na to nie uważał.

Tymczasem zaczęło się robić coraz widniej, dzień się zbliżał, a z nim zarazem karawana poczęła nabierać życia. Deszcz ustał, wiatr dać przestał, a jeźdźcy w raźniejszych podskokach objeżdżać poczęli karawanę, lub wybiegać naprzód, aby stósowne na ranny popas wyszukać miejsce.

Nagle w ostatnim wozie powstał najprzód szmer, a potem głośne wołanie.

Jeden z jeźdźców przyszedł, aby się dowiedzieć co zaszło.

Z pod namiotu wydobyła się głowa o twarzy tak przerażeniem zmienionéj, że go zaledwie jeździec zdołał poznać.

— Cóż się stało, signor Gambino? — zapytał jeździec.

— Gdzież Mazepa? — zapytał z woza znany nam Włoch, Antonio Gambino.

— Jakżeż ja mam wiedzieć, — odrzekł jeździec, — przecież Mazepa znajduje się we waszym wozie, signor!

— Nie masz go tu! — wrzasnął Włoch.



— Ha! więc uciekł! — rzekł na to obojętnie jeździec.

— Uciekł!! — powtórzył Włoch i otrząsał się, nie wiadomo, czy ze zimna, czy ze zgrozy. — Jakże się to stać mogło?

Jeździec wzruszył ramionami.

— Zatrzymać karawanę, — wrzasnął Włoch, i rozbiedz się po okolicy, może go odzyskamy!

W momencie karawana przystanąła, a towarzyszący jęj rozbiegli się to konno, to pieszo.

W godzinę popowracali wszyscy, ale bez Mazepy. Włoch wściekły od gniewu wymyślał na słuźbę, lecz na to odpowiedziano mu po części śmiechem.

— Gdzież go szukać? — pytano. — Las wiele mil długi i szeroki, góry pełne kryjówek i jam. Zresztą niewiadomo kiedy Mazepa uciekł. Może nad ranem, a może też już wieczorem.

— W czasie błysku i grzmotu miałem go jeszcze przy sobie, — zawołał Włoch rozpaczliwie, — musiał więc mnie niedawno opuścić.

— Ha! — rzekł na to jeden z konnych, — zatrzymajmy się czas niejaki, może chłopiec wróci, bo niepodobna, żeby miał odwagę zapuszczać się w tak daleką okolicę. Zresztą za białego dnia może go prędzej wyszukamy!

Rada była dobrą, ale na nieszczęście nie skutkowała, bo pomimo biegania, mimo nawoływania nadszedł wieczór, noc i drugi poranek, a Mazepy nie było.

Z ciężkiem sercem Włoch kazał karawanie ruszyć i pojechali dalej bez Mazepy.

\*

\*

\*

Mazepa gwałtem usadzony na wozie, siedział obok Włocha w milczeniu, lecz ktoby był mógł zajrzeć w jego młodocianą duszę, przeląkłby się, ile tam wrzało namiętności naraz. Gniew, wściekłość, oburzenie, zemsta... były to główne drgnienia jego duszy, lecz widząc się bezsilnym, ukrył cały ogień w sobie, oczekując stósownej chwili, aby mógł się wydobyć z więzów, jakie na niego włożono.

Gdzie go wiozą? na co? po co? zapytywał sam siebie, lecz na to nie mógł znaleźć odpowiedzi. Po głowie ustawicznie biegała mu myśl o śmierci jego ukochanej matki, którą pochowano, a którą jednakże widział. Wmawiano w niego, że to przywidzenie, ale on w przywidzenie nie wierzył.

Bądź co bądź postanowił Włochowi przy zdarrzonej sposobności uciec, wrócić do domu, i tam w nieobecności Włocha i opiekuna dowiedzieć się czegoś pewnego.

Tak minęło kilka dni. Karawana daleko już od jego rodzinnego gniazda się oddaliła i dostała się w dzikie strony, spuszczać się z gór w niziny na pogranicze Bukowiny, gdzie Dagomir miał obszerne włości, o czym Mazepa nie wiedział.

Włoch też spuścił chłopca z oka, a kiedy po burzliwej nocy zasnął, Mazepa wykonał swój zamiar i uciekł.

Zeszedłszy z woza zaczął biedz prosto przed siebie, kierując się w stronę, zkąd według jego mniemania karawana przybywała. Wnet jednak uznał niepodobieństwo ucieczki w ciemności, bo to się obalił w kałużę, to uderzył czołem w drzewo. Bez

namysłu wdrapał się na rozłożysty dąb, i tam ukrył się w jego konarach.

Pogoń wysłana za nim przebiegała tuż blisko... on wprawdzie nic nie widział, ale słyszał tętent i głośne nawoływania. Jednakże się nie zdradził. Czekał na drzewie cały ranek, cały dzień, nie zważając na głód i pragnienie. Dopiero wieczorem zszedł i puścił się w obranym kierunku.

Lecz puszcza stawała się coraz dziksza. Noc zapadła; przez konary drzew widać było mrugające gwiazdy, ale dołem tem większa ciemność.

Wnet też zwierzęta leśne głośnem wyciem i rykiem oznajmiły swą obecność. Mimo odwagi chłopczyna struchlał, bo jakżeż tu bronić się wilkom lub niedźwiedziom?

Szedł dalej.

Naraz wycie odezwało się tuż blisko, a z pomiędzy drzew zaświeciło mu mnóstwo par błyszczących punktów.

To wilki!

Bez namysłu wdrapał się co prędzej na najbliższe drzewo, — i to w sam czas, bo wilki już... już miały go pochwycić za nogi. Siadłszy na gałęzi, odetchnął nieco, a objawszy pień drzewa ramionami, siedział spokojnie, postanawiając pozostać tak do samego rana.

Siedząc teraz w bezpiecznem miejscu, zaczął myśleć o swem położeniu. Gdzie i w jakiej okolicy się znajdował nie mógł tego wiedzieć, domyślał się jednakże, że daleko, daleko od domu. Westchnął chłopczyna na wspomnienie domu... matki.

którą tak kochał, a o której mówiono, że umarła, pomimo, że ją rzekomo widział na własne oczy — już po pogrzebie. Nie oddawał się jednakże rozpacz. Zdawało się, że w tem młodociannem ciele znajduje się męzka, silna dusza, której rozpacz, zwątpienie, było czemś wcale nieznanem.

Teraz też dopiero w całej pełni uczuł głód, którego już od wczoraj nie zaspokoił. Lecz widząc niepodobieństwo wyszukania posiłku, miał tyle hartu duszy, że zapomniał o nim. Prócz tego roztropny chłopczyna odwiązał pas i chustkę od szyi, a związawszy razem, uczynił z tego rodzaj postronka, którym się w pas do drzewa przymocował. Był też wielki czas, gdyż znużony bieganiami, wycieńczony na siłach głodem, zaczął uczuwać senność.

W niejaki czas potem, nie zważając na wycie wilków, zasnął smacznie na swem napowietrznem twardem łożu. Spał aż do samego rana.

Kiedy się obudził, już słońce swemi promieniami złociło wierzchołki drzew leśnych. Mazepa, odwiązawszy się zeszedł na ziemię i nie patrząc na kierunek, puścił się chyżym krokiem dalej.

Główną jego myślą teraz było wyszukanie sobie pożywienia. Ale gdzie? Upatrywał za leśnemi jabłkami, lecz ich jeszcze nie było. Wreszcie o radości! natrafił na jagody, których też nazbierał tyle, aż się uczuł pokrzepionym, bo i głód zaspokoił i pragnienie ugasił.

Ale nadeszła znowu noc i z nią wycie wilków a Mazepa nie widział końca lasu. Znowu wszedł na drzewo i nocował jak wczoraj.

I znowu minął dzień trzeci — minął i czwarty, a końca lasowi nie było.

Tak minęły dwa całe tygodnie błakania się i żywienia jagodami i korzonkami. Chłopczyzna opadł całkiem ze sił, ledwie nogi powłóczył, a nawet tak był słabym, że już wieczorem, właśnie po dwóch tygodniach ucieczki, nie zdołał się wdrapać na drzewo, aby na niem zanocować.

Podniósł ze ziemi kawał kija i tak uzbrojony szedł dalej, w nadziei wyszukania jakiej rozpadliny w górach, któraby mu posłużyła za kryjówkę.

Okolica stawała się coraz dzikszą, puszcza coraz ciemniejszą. Już i zdawała dochodziły go wycia wilków, gdy spostrzegł się na skale w koło otoczonej drzewami, która z trzech boków spadała tak stromo, jakby ręką ludzką ściosana. Ku swój radości spostrzegł z boku wyskakujący w górę odłam, a w nim zagłębienie, niejako grotę. Uradowany skierował tam swe kroki. Grota była kilka stóp długa i szeroka, a spód jęj delikatnym mchem pokryty.

Bez namysłu legł na mchu, lecz nim się jeszcze dobrze położył, usłyszał trzask, łomot, i w momencie zapadł się gdzieś głęboko w ziemię. Stało się to tak nagle, niespodzianie, że Mazepa ani nie miał nawet czasu krzyknąć, nie wiedząc sam, co się z nim dzieje.

Nagle uczuł, że się zatrzymał na czemś miękkim. To coś wyrwało się z pod niego, a on sam pokulnął się nieco dalej.

Wszystko to przywróciło mu przytomność. Zer-

wał się na równe nogi, ścisnął mocniej kij w rękę, którego spadając nie puścił, i z biciem serca zatopił swe oczy w ciemność.

Alé niczego nie dojrzał, tylko słyszał jeszcze spadające kamyki i kawałki gruzu.

Wreszcie i to ucichło.

Mazepa stał nieruchomy — ledwie dyszał. Nie śmiał kroku postąpić, aby nie wpaść w jaką otchłań. Zdawało mu się, że mu grozi niebezpieczeństwo, ale zkąd? jakie? sprawy sobie z tego zdać nie mógł, stał tylko gotów do obrony.

Wtem posłyszał jakiś szmer, a niebawem ujrzał prawie we wysokości swych ocz dwa światelka niby płomyki. Zwolna jednakże owe światelka się ku niemu zbliżały... już są tuż... tuż!...

Mazepa schwycił kij oburącz i silnym zamachem uderzył pomiędzy owe płomyki... kij na czemś zatrzeszczał, posłyszał głuchy jęk, ale już znowu kij spadł w to samo miejsce. Coś się ciężko zważyło... płomyków nie widać! Lecz jego kij po raz trzeci świsnął w to samo miejsce, ale nie natrafiwszy na żaden opór, uderzył o ziemię i złamał się na dwoje.

Przelekły Mazepa tem zdarzeniem ścisnął tem mocniej ułamek kija, wznosił go do góry, oczekując jakiej napaści, ale wszystko było spokojnie. Głucha cisza zaległa, tylko słychać szybkie i głośnie uderzenia serca chłopczyny.

Stał długo... długo nieruchomy. Wreszcie nogi zaczęły pod nim drzeć, a po wyteżeniu straszliwym nastąpiło tem większe osłabienie. Mimowolnie ukląkł

najprzód na kolana, potem całkiem usiadł, a wreszcie sen go zmorzył — i zasnął.

Zbudziwszy się powstał co żywo, wymawiając sobie w duszy, jak mógł się w tak strasznym miejscu oddawać snowi. Zdawało mu się, że co dopiero zasnął, więc znowu oczy w ciemność wytrzeszczył, ale niczego nie dojrzał. Spojrzawszy zaś w górę ujrzał nad sobą jakiś jasny punkt. Coby to było, nie wiedział, ale mechanicznie począł krzyczeć o ratunek.

Ochryplł wreszcie i przestał, bo z kąd mógłby mu kto w téj dzikiéj kniei przyjść z pomocą?

Lecz ledwo tylko przestał, usłyszał po nad sobą jakiś szelest, ów jasny punkt się zaćmił.

— Czy ztamtąd kto woła? — dał się słyszeć głos ludzki.

Och! ten głos... ten głos!... jakże słodko zabrzmiał w uszach nieszczęśliwego Mazepy...

— Tu ztąd! tu ztąd! — zakrzyknął, natężając głos, jak tylko siły starczyły.

Obcy z góry wydał okrzyk zdziwienia.

— Och! — zakrzyknął znowu Mazepa, — ratuj mnie, ratuj!

Chwilę trwała cisza. Obcy niezawodnie badał okiem głąb jamy, bo otwór był ustawicznie zaciemnionym.

— Zaczekaj spokojnie! — odezwał się znowu głos, — nie długo powrócę.

I w téj chwili otwór zajaśniał, a szmer kroków oznajmił Mazepie, że obcy się oddalił.

Mazepa zadrżał. Wróci się aby ów obcy? przyjdzie mu w pomoc?

Minuty upływały, a te minuty zdawały mu się trwać całą wieczność..

Wreszcie znowu szmer, słychać stąpania, a potem coś ciężkiego upadło u góry. W otworze znowu zaciemniło się.

— Bądź ostrożnym, — odezwał się głos, — bo spuszczam!

W téj też chwili posłyszał Mazepa szelest, coś zaczęło się na dół spuszczać i niebawem z głośnym stukiem oparło się na twardej podłodze jamy. Mazepa stał jeszcze cicho, nie widział bowiem spuszczonego przedmiotu, ani nie wiedział, coby to oznaczać miało. Ale jakże się ucieszył, kiedy głos z góry nakazał mu zobaczyć, czy spuszczonej drąg mocno oparty.

Mazepa skoczył. Był to gruby drąg, świeży, widocznie co dopiero ścięty. Stał mocno.

Gdy to Mazepa w górę oznajmił, zaczął się jakiś człowiek spuszczać zwolna po owym drągu, aż wreszcie znalazł się u samego spodu. Nie rzekłszy ani słowa, pomacał podłogę ręką na około, i zaczął coś na niéj robić tajemniczo. Potem Mazepa ujrzał iskry, sypiące się z krzesiwa, i niebawem buchnął płomień z łuczywa na podłodze ułożonego.

Jama zajaśniała tajemniczo czerwonawem światłem i naraz rozległy się dwa okrzyki.. jeden radości z piersi Mazepy, drugi zdziwienia z piersi obcego.



— Chłopcze! — zawołał obcy, — jakim sposobem się tu dostałeś? Coś ty za jeden?

Mazepa w krótkich słowach opowiedział, jak zbłąkany szukał miejsca na noc, i jak niespodzianie zapadł się w ziemię. Chciał zaraz opowiedzieć, co on za jeden, ale mu obcy wzbronił.

— Teraz nie ma czasu na opowiadania, — rzekł — do tego znajdzie się inna pora... Ha! cóż widzę, — zawołał, — kto zabił tego wilka?

Mazepa, spojrzawszy w bok, ujrzał ogromne wilczysko, rozciągnięte na ziemi, z potrzaskanym łbem i wiszącym ozorem.

Domyślił się zaraz, że to owo nocne straszidło z iskrzącymi ślepiami. Domyśł swój też natychmiast obcemu oznajmił. Ten jednakże nie na to nie odpowiedział, tylko wilka pilnie oglądał i przewracał na wszystkie strony.

Tymczasem Mazepa zaczął się przypatrywać swemu wybawicielowi. Był to wysoki mężczyzna, z pośroniałym już wąsem, ale czerstwą twarzą.

Z ubioru, oraz z przewieszonój przez ramię flinty i torby domyślał się, że jest leśnikiem. Tak też było w samój rzeczy.

Po chwili milczenia odezwał się leśnik.

— Zgrabny i odważny z ciebie chłopak, — rzekł, — ubiłeś wilka, mego starego znajomego, którego ścigam oddawna. Nie dziw, że tego poganina wytropić nie mogłem, kiedy on się krył tu w téj jamie!... Tak, to ten sam... owóż jeszcze ma strzaskaną nogę od mego wystrzału... No! chłopcze! tyś kawałkiem gałęzi więcej dokazał, aniżeli

ja śrutem!... Aleś pewnie głodny... oto masz, usiądź przy ogniu, pokrzep się, bo droga daleka. Tymczasem poszukam wyjścia, bo zapewne ten poganin do jamy górą nie wchodził!

Po tych słowach podał Mazepie kawałek czarnego chleba, a potem zapaliwszy łuczywo, poszedł w głąb na odkrycie.

Długo dosyć trwało, zanim myśliwy powrócił.

— Tam jest wyjście, rzekł, zaraz pójdziemy, tylko poprzednio wilk oddać nam musi swą odzież, która się przyda dla ciebie.

To rzekłszy dobył noża i zabrał się do obciążenia zwierza, co umiejętnemu myśliwemu poszło bardzo szybko.

— Teraz pójdź za mną, rzekł, biorąc świeże zapalone łuczywo i zarzucając skórę wilczą na ramię.

Mazepa powstał i udał się za przewodnikiem. Z początku jama była wysoka, ale zaczęła się coraz zwązać i zniżać, aż wreszcie jeden za drugim musieli pełzać na czworakach. Wreszcie wyszli i znaleźli się w gęstym zaroślu, z którego nawet nieba widzieć nie było można. Przedzierając się przez cierniste krzaki, wyszli wreszcie na otwarte miejsce, i wtedy Mazepa, obejrzawszy się, ujrzał wysoką górę, w której wnętrzu o mało co nie znalazł śmierci to przez wilka, to z głodu.

Czas niejaki szli w milczeniu. Potem myśliwy zaczął Mazepę wypytywać o to i o owo, i niezadługo już znał cały bieg życia chłopca. Tedy i owedy

strząsnął głową, nie dowierzając jego opowiadaniu, a kiedy Mazepa twierdził, że widział matkę po jej pogrzebie, uśmiechnął się i potrząsnął głową, ale nie mówił.

Podróż była daleka, gdyż lubo rano rychło wyszli z jamy, jeszcze na południe nie ujrzał Mazepa żadnego mieszkania ludzkiego, a tymczasem knieja stawała się gęstsza i dziksza.

Naraz stanęli przed chatą, zbudowaną z grubych blochów.

— Otóż jesteśmy w domu, odezwał się myśliwy, odsuwając drewniane zapory. — Chodź, mój chłopcze, i wypocznij po twój tułaczce. Wprawdzie nie będzie to tak wspaniale, jak dawniej u twój matki, ale za to wygodnie.

Po tych słowach weszli do izby. Na razie Mazepa nic nie widział, bo było ciemno, jak w owój wilczej jamie. Nie długo jednakże zrobiło się jasno, bo myśliwy odsunął grube okiennice, pootwierał dymniki, i naraz Mazepa mógł okiem objąć całe mieszkanie leśnika.

W obszernój a jedynój izbie całego budynku znajdował się na środku komin murowany z kamieni. Blisko okna stał pojedynczy z grubych blochów zrobiony stół i kilka stołków bardzo pojedynczej roboty. W jednym kącie stało łóżko, nakryte niedźwiedzią skórą. Na ścianach wisiało kilka ubiorów, przyborów myśliwskich, a w innym kącie nieco sprzętów, szafa i kilka polic... i otóż całe umeblowanie.

Myśliwy, zdjąwszy ze siebie skórę wilczą, rzu-

cił ją na podłogę, powiesił broń i torbę na swem miejscu, i zabrał się do rozniecienia ognia, a potem do gotowania, nikogo bowiem więcej w całym domu nie było, prócz niego samego.

Mazepa, lubo był zmęczony, jednakże nie pozostał bezczynnym, lecz ile możności starał się staremu myśliwemu przyjść z pomocą, a chociaż nic więcej, to przynajmniej dokładał drzewa do ognia.

Wnet też w garnku poczęło się gotować, a woń mięsa rozeszła się po izbie.

Mazepa nie ustawał w opowiadaniu i powtarzał ustawicznie to samo na około, sądząc, że wciąż opowiada coś nowego. Leśnik słuchał pilnie, a przynajmniej tak się zdawało.

Obiad spożył Mazepa z apetytem, jakiego nigdy w życiu nie doznawał. Gdyby tego była potrzeba, byłby teraz przysięgł na zbawienie duszy, że już na świecie smaczniejszych nie może być specyałów.

Nie dziw — głód najlepszym kucharzem..

— Mój chłopcze, odezwał się myśliwy po spożyciu ugotowanego jada, jesteś strudzonym, i wypoczynek na razie jest ci potrzebniejszym, aniżeli wszystko inne. Dla tego położysz się teraz i będziesz spał, a ja pójdę w las, gdzie mnie obowiązek powołuje. Jutro rozmówimy się dalej.

To rzekłszy usłał mu własne posłanie i dopomógłszy chłopcu do rozebrania się, ułożył go na łóżko i nakrył kołdrą ze skóry niedźwiedziej. Chłopiec mechanicznie pozwolił ze sobą robić, co się leśnikowi podobało.

Ten zaś, ułożywszy go na posłaniu, wziął flintę i torbę, wyszedł z izby i zamknął drzwi na zapory.

Mazepa uczuł się jak w raju. Po tylu trudach i niewygodach pierwszy raz znaleźć się w łóżku, pod dachem, i w bezpiecznym miejscu, uważał za najwyższe szczęście. Zaczął wprowadzić porównywać obecne otoczenie z dawniejszem, ale myśli zaczęły mu się plątać, bo senność coraz więcej go pobierała.

Cały czas i wszystko co przeżył od czasu przybycia opiekuna w dom jego matki, przesunęło mu się przed oczyma. Drgnął kilka razy na wspomnienie opiekuna i Włocha; zadrżał, uprzytomniwszy sobie runięcie do wilczej jamy, wreszcie z obrazem swój matki w duszy zasnął głęboko.

### III.

Kiedy się Mazepa obudził, powiódł zdumionem okiem naokoło. Śnił o domu, o matce — a teraz widzi się w zupełnie obcym miejscu. Z początku zdawało mu się, że poprzedni sen był rzeczywistością, a teraz rzeczywistość jest właściwie snem.

Zebrawszy jednakże całą przytomność przypomniał sobie minione zdarzenia, przypomniał sobie dzień wczorajszy i poznał, że bynajmniej nie marzy.

Słońce świeciło właśnie prosto w okno i oświetlało całą obszerną izbę, w której prócz niego żywej duszy nie było.

— Spałem aż ku wieczorowi, rzekł sam do siebie; — mój wybawiciel jeszcze nie wrócił z lasu.

To rzekłszy chciał powstać, gdy nagle usłyszał szelest otwierających się drzwi, i myśliwy ukazał się w izbie, lecz bez strzelby i torby.

— Aha! zawołał z uśmiechem, wreszcie się obudziłeś... Nie szkodzi, tak długi sen był ci potrzebnym i zapewne czujesz się silniejszym.

Mazepa słuchał tych słów, nie mogąc ich zupełnie zrozumieć.

— Czyż tak długo spałem? — zapytał powstając.

— Ha! czyż nie widzisz? — odrzekł myśliwy skazując na słońce, — toż spałeś od wczoraj po południu aż do dziś prawie do południa... No, ale to ci wyjdzie na zdrowie.

Mazepa otworzył oczy jak szeroko.

— Co? zawołał, jabym miał być spać prawie całą dobę?

— A tak jest, potwierdził myśliwy, spałeś całą dobę. Ale, jak mówiłem, nie to nie szkodzi, owszem wyjdzie ci na zdrowie. Zapewne już teraz czujesz się rzeświejszym, aniżeli wczoraj.

Istotnie czuł się Mazepa silnym i zdrowym, jak gdyby nie był wcale tyle przeżył przykrości. Wstawszy i umywszy się w zimnej wodzie zasiadł do jedzenia, które mu również smakowało jak wczoraj.

Stary myśliwy przypatrywał się dorodnemu chłopcu uważnie. Snadź mu się podobał, bo z upodobaniem kiwnął kilka razy głową.

Najadłszy się począł się Mazepa rozpatrywać po izbie. Nie było tam wiele rzeczy, ale za to każda go interesowała, bo ich dawniej nigdy nie widywał.

Nagle zakrzyknął z radości, zobaczył bowiem wiszący na ścianie łuk.

Zauważył to myśliwy.

— A co? zapytał, czy umiesz strzelać z łuku?

— W domu strzelałem zawsze, odrzekł Mazepa, i...

— I zwykle chybiałeś! rozśmiał się myśliwy.

— Oho! zawołał Mazepa.

— Zobaczymy! rzekł na to krótko myśliwy, a przystąpiwszy do ściany zdjął łuk, wziął ze sobą kilka strzał, i skinąwszy na chłopca wyszedł z nim przed dom.

Właśnie na wysokiój sośnie zagruchała turkawka.

— Czy widzisz turkawkę?

— Widzę.

— Zastrzelisz ją?

— Mazepa zmierzył okiem odległość.

— Jeżeli łuk dobry, odrzekł, to zastrzele.

— Zobaczymy czy się nie przechwalasz! Zaraz ci łuk napnę.

— Nie potrzeba, ja sam go napnę.

I nie czekając dalej odebrał leśnikowi łuk z ręki... i napiął. Zmierzył potem w górę, strzała świsnęła, a niebawem ptak na wylot przesyty spadł na ziemię.

Myśliwy spojrział ze zdumieniem na Mazepę.

— Walny z ciebie chłopiec, rzekł, dokazałeś sztuki, którójby inny dwunastoletni chłopiec nie dokazał. Łuk ten i mężczyźnie trudno napiąć, a strzał wskazuje na niepospolitą zręczność... No, zrobie z ciebie wybornego strzelca. Łukiem władasz dobrze, nauczysz się wnet i z broni ognistój strzelać. Zostaniesz bowiem u mnie aż do wiosny, gdyż teraz na odszukanie twego rodzinnego domu puszcząć się nie możemy, zwłaszcza, że sam nie wiesz, w którój on stronie. A zresztą...

Tu zamilkł, tylko machnął ręką.

— Chodźmy do izby, rzekł po chwili milczenia.

Kiedy weszli do izby, stary myśliwy zamyślił się głęboko.

— Wiesz co, Mazepo, rzekł po chwili, rad jestem, że cię Opatrzność przywiodła do mnie. Mieszkam samotny, rzadko tylko wychodzę z lasu, i na mą starość rad jestem żywój duszy koło mnie. Po zostaniesz więc u mnie aż do sposobnej pory; ty będziesz mi synem Mazepą, a mnie nazywaj ojcem Andrzejem, bo tak mi na imię... Myślę, że nie pożałujesz tego. No, czy zgoda?

Mazepa westchnął, łza pokręciła mu się w oku na wspomnienie domu, ale sam uważał, że mu nic innego nie pozostaje. Zbliżył się więc do myśliwego i podał mu rękę.

— Ojczy Andrzej, rzekł czule, jesteś moim wybawicielem od śmierci, więc ja ci chcę też być posłusznym synem.

Andrzej przyciągnął chłopca do siebie i uściśkał go z rozrzewnieniem.





I Mazepa pozostał u Andrzeja.

Całem jego zatrudnieniem było polowanie. Wśród takiego zatrudnienia, i żyjąc ustawicznie na wolnem powietrzu, Mazepa zmęźniał, muszkuły nabrały sprężystości zadziwiającej, a duch usposabiał się do niezawisłości i zamięłowania nieograniczonej wolności. Wnet młody uczeń wyrównywał swemu mistrzowi w sztuce myśliwskiej, a w rok później już go przewyższał.

Czas bowiem upływał, a Andrzej nie myślał Mazepę odprowadzać do domu. Zdołał mu też wreszcie wszelką myśl o powrocie wybić z głowy. Twierdził bowiem, że matka w samej rzeczy nie żyje, a ukazanie się jój po śmierci było albo nadprzyrodzonym zjawiskiem, albo niczem więcej, jak owocem wybujałej i rozdrażnionej wyobraźni.

Mazepa początkowo opierał się temu twierdzeniu, w końcu jednakże sam uwierzył. Czas zatarł zwolna w nim chęć powrotu, a wreszcie życie wolne, pełne przygód i awantur, odpowiadało wewnętrznemu usposobieniu żywego Mazepy.

Minęły trzy lata. Mazepa wyrósł i wykwitł na bardzo nadobnego młodzieńca. Jak był przystojnym z powierzchowności, tak był też odważnym, śmiałym i zręcznym. Sam jeden wychodził na dzika tylko z oszczepem, — toczył zwyciężkie walki z niedźwiedziami, a skórami wilków byłby niezadługo zapchał całą izbę Andrzeja. Podobało mu się to życie i nie pragnął innego.

Było to pięknego dnia latem, kiedy Andrzej

z Mazepą siedzieli właśnie przed domem, zajęci rozmową. Nagle usłyszeli tętent kopyt końskich.

I Andrzej i Mazepa zerwali się na równe nogi, zwracając oczy w stronę, z kąd ich odgłos dochodził. Zdziwieni oczekiwali przybycia jeźdźca, ciekawi, co go w tę samotną i dziką okolicę przyprowadzić mogło. Tu bowiem nikt nie zaglądał, chyba czasem jaki sąsiad z pomiędzy najbliższych leśników, albo też zabłąkany wieśniak. Któżby to mógł być i czego żąda?

Odgłos kopyt końskich stawał się coraz wyraźniejszym, widocznie jeździec się zbliża.

A już też widać zdala cwałem pedzającego jakiegoś człowieka.

— Héj! hola! wołał zdala przybyły, Andrzej, a gdzieżecie się to z waszą chatą skryli? Ledwo was wyszukać zdołałem.

Andrzej spojrział pilnie na niego, nie odpowiadając na owo dziwne zapytanie, zwłaszcza, że przybyły był mu całkiem nieznanym.

Jeździec dojechał i osadził konia.

— Czy to wy jesteście Andrzej, leśnik? zapytał przybyły.

— Tak jest, odrzekł Andrzej, lecz cóż was tu do mnie sprowadza?

— Służba, Andrzej, służba, była odpowiedź, jutro panowie zjeżdżają na łowy. Rozpoczną tam górą, a skończą tu we waszej Czarniej kniei, gdzie będzie odpoczynek. Owoż przybywam po rozkazie, abym wam to oznajmił.

Andrzejowi zaśmiały się oczy.

— Łowy? powtórzył, i drużyna łowiecka zawita do méj Czarnéj kniei?... O! co za szczęście na me stare lata!

To rzekłszy zatarł ręce z radości.

Przybyły tymczasem wpatrywał się w Mazepę.

— A ten co za jeden? zapytał.

— Mój syn, odrzekł krótko Andrzej.

— Dorodny z niego młodzian! pochwalił przybyły. A teraz zostańcie z Bogiem, spieszno mi bowiem dalej w podróż.

To rzekłszy wspiął konia i pocwałował dalej.

— Hej!... a zaczekaj no waćpan! krzyknął za nim Andrzej, chcę jeszcze o coś pytać!... Pojechał do szatana!... niechże go, jak mu pilno!

W saméj rzeczy goniec nie zaczekał na wołanie, bo może zresztą nie słyszał nawet Andrzeja, gdyż koń w lesie bił kopytami, aż się rozlegąło. Wnet zniknął pozostałym z oczu.

— Hm! mruzczał stary, o najważniejszej rzeczy nie wiem — on mi nie powiedział, a mnie na razie nie przeszło na myśl zapytać... Niech kaci porwą taką robotę!...

Mazepa dotąd był niemym świadkiem wszystkiego, ale mało co z tego zrozumiał. Słyszał coś o łowach, o Czarnéj kniei, ale nie umiał sobie zdać z tego sprawy.

— Ojcie Andrzeju, odezwał się po chwili, cóż to wszystko znaczy? Kto tu zjedzie na łowy?

— A toż to właśnie, że sam dobrze nie wiem, a ten poganin uciekł i nie czekał, aż go o to zapytam.

— Zapewne sam starosta, zauważył Mazepa.

— Bez starosty zapewne się nie obejdzie, odrzekł leśnik, ale ja mam co innego na myśli. Nasz starosta lubi wprawdzie zwierzynę, i sam wiesz, ile mu jój dostarczam, ale sam do polowania nie koniecznie prędko. Tymczasem nasz las z Czarną knieją — wiesz, tam gdzieby cię był o mało co w jamie zjadł wilk! — owoż nasz las przyległy jest lasom królewskim... Możeby więc sam król jegomość zjechał na polowanie...

— Król jegomość? zawołał pytająco Mazepa.

— Tak, tak, potwierdził swe słowa Andrzej, nie byłoby to przecież po raz pierwszy!

— Król... król... — powtarzał sobie Mazepa, o gdybym go mógł zobaczyć!

— No, zawołał stary, do jutra nie tak daleko, dowiemy się, jak rzeczy stoją. Znam mą powinność i wypełnię ją bez względu na to, czy tylko starosta z panami, czy i sam król zjedzie na polowanie.

Wśród rozmowy tyczącej jutra zabrali się obaj do przygotowań. Broń palną wyczyszczono, oszczepy i jatagany wyostrzono, i torby myśliwskie wprowadzono w porządek jak się należy.

Nazajutrz o świtaniu już obaj byli w lesie, kierując się ku Czarnej kniei. Słońce wybiło się już ponad horyzont, gdy stanęli na miejscu.

— Tu więc pozostaniesz, rzekł Andrzej, i uważaj pilnie, co się będzie działo. Myśliwi zjawią się tu od téj strony, a skoro przybędą, a mnieby jeszcze nie było, bądź gotów do posługi.

Mazepa przyrzekł wypełnić zlecenie akuratnie, a leśnik udał się w swoją stronę ku królewskim lasom.

Czas upływał Mazepie bardzo wolno, bo będąc beczynnym nudził się nie mało. Chodził tam i sam, zwiedził nawet ową znaną wilczą jamę, ale to nie zdołało go rozerwać.

Naraz około południa posłyszał jakiś szelest. Mazepa znajdował się właśnie na samym brzegu gęstej zarośli. Przystanąwszy, ujrzał samotnego jeźdźca, zbliżającego się stępem. Z powierzchowności poznał Mazepa, że nieznajomy należał do grona łowców, miał bowiem przez ramię przewieszoną trąbkę, a w ręku oszczep.

Nieznajomy dojechawszy aż do stóp góry, w której się znajdowała wilcza jama, przystanął, zarzucił koniowi lejce na kark, i sam usiadł na zielonej murawie i zaczął się przypatrywać okolicy.

Nie długo to jednakże trwało, gdyż jeździec nagle nastawił uszu, zwrócił oczy po za siebie. Zerwał się potem ze ziemi, pochwycił za oszczep i chciał pochwycić konia za cugle, ale koń w tej chwili stanął dęba, parsknął silnie i zwróciwszy się lotem strzały uciekł w głąb lasu, pozostawiając jeźdźca samego.

I Mazepa zadrgnął, gdyż w momencie poznał przyczynę ucieczki wierzchowca... oto tuż... tuż obok jeźdźca wysunął się z gęstwiny ogromny niedźwiedź i idąc na czterech łapach kłapał zębami i mruzczał straszliwie.

Jeździec uciekać nie mógł, więc stawiał czoło

potworowi. Kiedy ten blisko niego się znajdował, pchnął silnie oszczepem w paszczę. Niedźwiedź ryknął straszliwie z gniewu i z bólu, zgruchotał oszczep, a powstawszy na tylne nogi z otwartą i posoką ciekącą paszczą szedł na swego przeciwnika. Jeździec chwycił puginał, jedyną broń, jaką miał przy sobie, i oczekiwał niedźwiedzia.

Lecz cóż znaczy puginał na niedźwiedzia!

Wprawdzie może on go utkwic w sercu wściekłej bestyi, ale sam zgnieciony runie razem z potworem.

Wtem, gdy niedźwiedź już... już miał łowca ująć w swe pazury, nagle przypadł Mazepa i silnem pchnięciem utopił ostrze oszczepu w sercu potworu, który ryknawszy straszliwie, przewrócił się młyńcem i o mało co nie przygniótł swem cieleśkiem zdumiałego łowca.

Niedźwiedź chwilę jeszcze chrapał, a potem przestał oddychać.

Mazepa uratował życie człowiekowi.

Łowiec przez czas niejaki ani słowa przemówić nie mógł. Widział się przed chwilą już w objęciach śmierci, a tu naraz przyszła mu pomoc, której się nigdy w téj odludnej stronie spodziewać nie mógł. Schowawszy puginał, spoglądał to na swego wybawiciela, to na rozciągniętego u stóp swych zwierza.

— Młodzieńcze, rzekł po chwili, ktokolwiek jesteś, winienem ci ocalenie mego życia.

— Nie poczytuję sobie tego za wielką zasługę, odrzekł, gdyż to było mym obowiązkiem, a zresztą

każdy inny na mem miejscu byłby to samo uczynił.

Łowiec się uśmiechnął.

— Twe słowa, rzekł na to, są wyrazem zbyt wielkiej skromności z twój strony, albo też dumy. Tyle bowiem sam uznajesz, że gdyby nie ty, bez wątpienia znajdowałbym się teraz w uścisku tego niedźwiedzia, a jakie taki uścisk pociąga za sobą skutki, tego ci zapewne nie potrzebuje powiadać.

— To pewna, potwierdził Mazepa, żeby wam w piersiach była nie jedna złamała się kostka.

— Więc widzisz, mówił znowu łowiec, że ci wiele mam do zawdzięczenia. Bądź też pewnym, że będę ci wdzięcznym.

Mazepa się obruszył.

— Nie gadajcie mi o wdzięczności, zawołał cierpko, bo ja dla wdzięczności niedźwiedzia nie ubilem, tylko mi tak nakazywała powinność. Widziałem was w niebezpieczeństwie, przybiegłem na pomoc... ot i poszczęściło się... Czy wy nie zrobilibyście tak samo?

— Stawiasz mi pytanie, młodzieńcze, rzekł na to poważnie łowiec, na które mi trudno odpowiedzieć. Któż wie, w jakim usposobieniu znalazłaby mnie taka chwila... Ktoś ty jest młodzieńcze?

— Imię mi Mazepa, a mieszkam u ojca Andrzeja.

— Cóż to za Andrzej?

— Leśnik.

— Więc synem jego jesteś?

— Nie.

— Więc czemu? czy uczysz się myśliwstwa?

— I tego właściwie nie, tylko przed trzema laty przybyłem zabłąkany w te strony, on mnie wyratował z wilczej jamy... tu obok nas będącej... i przybrał mnie za syna.

— Hm! hm! mruknął łowiec, ciekawym twój historyi... Siadaj tu obok mnie i opowiedz szczerze wszystko. Mamy jeszcze dość czasu, nim całe grono łowców nas odszuka.

To rzekłszy łowiec siadł na ubitym niedźwiedziu, Mazepa koło niego na murawie leśnej, i z całą szczerością opowiedział cały bieg swego żywota, jak tylko mógł pamięcią zasięgnąć. Opowiadał zaś tem chętniej, bo zauważył, że łowiec go pilnie słucha, co dowodziły liczne pytania w toku opowiadania stawiane.

— Młodzieńcze, rzekł łowiec po chwili, kiedy Mazepa skończył opowiadanie, twoja historia daje mi wiele do myślenia. Uważam ją jednakże we wielu punktach za prawdziwą, gdyż twoja mowa już zdradza, żeś w lasach dzikich nie wychowany... Chciałbyś ty inne zacząć życie?

Mazepa się zamyślił.

— O chciałbym! odrzekł ze zapałem, chciałbym być panem, albo samym królem, abym mógł wydawać rozkazy!...

— Oho! przerwał łowiec ze śmiechem, twoje zachcianki są bardzo wysokie!... Lecz mniejsza o fantazyę... Mój chłopcze, nie jest to jeszcze najwyższem szczęściem być królem, gdyż korona rzadko kiedy jest lekka.



— Jużbym ją uniósł!... wtrącił Mazepa.

— To pytanie!... odparł łowiec nieco zamyślony. Lecz skończmy próżne gadania, a wróćmy do rzeczy. Chciałbyś ty się znajdować na dworze jakiego wielkiego pana?

— Nie ma wątpliwości, tylko...

Tu urwał.

— Tylko co? pytał łowiec.

— Nie chciałbym na starość opuszczać poczciwego Andrzeja, któremu tyle wdzięczności winienem.

— To mi się bardzo podoba od ciebie, rzekł ze zadowoleniem łowiec, bo to dowodzi, że prócz odwagi, męstwa i zgrabności, posiadasz dobre i czułe serce.

Młodzieniec nic na to nie odpowiedział, tylko spuścił oczy, bo tyle pochwał pokraśniło jego lica rumieńcem.

— Zobaczymy, mówił dalej łowiec, może dla Andrzeja znajdzie się takie stanowisko, że mu twoja pomoc na starość będzie pożyteczną... Ale owoż i oni...

Tu łowiec nagle przerwał, bo gdzieś nie daleko ozwały się trąbki myśliwskie. Łowiec ściągnął także trąbkę z ramienia i zagrał. Głos srebrny rozległ się po lesie, a Mazepie serce raźniej zabiło.

Oh! gdyby on też miał taką trąbkę...

Wkrótce sygnały się powtórzyły, łowiec powtórzył i swoje, a niebawem dał się słyszeć tętent kopyt końskich. Nie wyszło kilka pacierzy, a Ma-

zepa ujrzał kilkunastu strojnych panów, pędzących cwałem w stronę, gdzie się on i łowiec znajdowali.

Mazepa strzelił okiem by błyskawicą po panach, potem zwrócił oczy na siedzącego łowca.

Jakże oni byli strojem odmienni! Podczas gdy na panach jaśniało złoto, łowiec był tylko ubranym w kurtkę myśliwską.

Zapewne był jednym z ich pacholków.

Jeźdźcy już dopędzali.

— Jest pomiędzy nimi też król? zapytał Mazepa skwapliwie.

— Nie, odrzekł łowiec, pomiędzy tymi panami króla nie ma!

— Szkoda, zawołał smutnie Mazepa, a jabym tak chętnie chciał króla widzieć!..

W téj chwili orszak nadjechał.

#### IV.

Najprzedniejszy z panów dojechawszy blisko zeskoczył z konia i zdjął czapkę.

— Najjaśniejszy Panie! zawołał, dzięki Najwyższemu, że cię oglądamy zdrowo. Widzieliśmy twego konia, biegnącego bez jeźdźca, więc możesz być pewnym, że w najwyższej o ciebie byliśmy obawie.

— Dziękuję wam, panie starosto, za troskliwość. W saméj rzeczy mało brakło, żebyśmy się byli zdrowo nie oglądali.

Panowie tymczasem patrzeli ze zdumieniem na ubitego niedźwiedzia.

— Najjaśniejszy Panie, odezwał się inny wąż-

saty jegomość, musiała tu zajść zażarta walka. Widzę oszczep zgruchotany, i dziwno mi, że bestya od samego uderzenia w paszczkę poległa.

— Słuszne zdanie waszmości, odrzekł łowiec, nie poległ też mysio od rany zadanej w paszczkę, lecz w serce. Odwróćcie go tylko, a zobaczycie.

Odwrócono niedźwiedzia i oglądano ranę.

— To nie od puginału, odezwał się starosta.

— Słusznie, potwierdził inny, szrama za szereka, pochodzić może jedynie od oszczepu.

— W każdym razie, odezwał się starosta, zwracając się do łowca, winszujemy Najjaśniejszemu Panu tego zwycięstwa.

— Nie mnie się tu zaszczyt należy, odrzekł łowiec z uśmiechem.

— A komuż?

— Oto temu tam... Lecz gdzież on?

To rzekłszy łowiec obejrzał się za Mazepą, który, domyślając się z kim miał dotąd do czynienia, cały drżący usunął się na bok i stanął za grubym pniem drzewa. Drżał on nie z obawy, nie z przełknięcia, lecz ze wzruszenia na myśl o tak dziwnym zbiegu okoliczności.

— Mazepo! zawołał łowiec, gdzież jesteś? Chodźże do nas natychmiast!

Mazepa posłuszny rozkazowi wyszedł z ukrycia i stanął ze śmiałym czołem, chociaż skromnie, przed zgromadzonymi panami.

— Otóż z ręki tego młodzieńca padł niedźwiedź! rzekł łowiec wskazując na Mazepę i zwróciwszy się do niego, dodał: Mazepo, chciałeś rad

widzieć króla... życzenie twoje spełnione, jam jest bowiem król Jan Kazimierz, któremuś ty uratował życie.

Lubo Mazepa już przedtem z mowy panów domyślał się z kim ma do czynienia, jednakże potwierdzenie swego domysłu wybiło mu krew na lica.

Przez chwilę stał spokojnie, nie wiedząc, co na słowa królewskie odpowiedzieć.

Lecz wróciła mu przytomność umysłu.

— Najjaśniejszy Królu, rzekł, nie pierwszy to niedźwiedź, który legł z méj ręki, a nigdy sobie tego za nic wielkiego nie uważałem. Zatem i na teraz nie warto mowy, chyba dla tego, że może zdrowie Najjaśniejszego Króla bołoby na szwank narażone, gdybym...

— Tak jest, tak, odezwał się król szybko, nie tylko moje zdrowie, ale i życie było narażeniem. Lecz teraz dajmy temu pokój, znajdzie się czas do pomówienia inną razą... Panie starosto, czy pan słyszałeś co o Dagomirze?

Starosta się zamyślił.

— Tak jest, odrzekł, Dagomir mieszka na samem pograniczu Podola.

Tu król coś pomówił ze starostą. — Mazepa domyślał się, że o nim mowa, gdyż starosta często ku niemu spoglądał, ale co ze sobą mówili, tego odgadnąć nie umiał. Mógł tyle zrozumieć z giestów, że król rozkazywał, a starosta przyrzekał wypełnić.

Król, skończywszy rozmowę ze starostą, rozkazał zwołać wszystkich łowców. Rozległy się

trąbki, sygnały zagrały echem po lesie, a niebawem tu i tam nastąpiła odpowiedź to pojedynczego łowca, to kilku razem wspólnie.

Nie wyszło wiele czasu, kiedy się łowcy zbierać poczęli, znosząc ubitą zwierzynę i sprowadzając konie, objuczone zapasami.

Nadbiegł także i Andrzej, ale zajęty to układaniem zwierzyny, to rozpalaniem ognia, nie pytał wcale o Mazepę. Ten zaś upatrywał stósownej chwili, aby czemp prędzej go uwiadomić o wszystkim, co zaszło.

Tymczasem do Andrzeja nadszedł jakiś strojnie ubrany łowiec z otoczenia królewskiego.

— Czyś to ty leśnik Andrzej, zapytał starego myśliwego.

— A tak, odrzekł Andrzej, cóż mam czynić?

— Chodź starcze ze mną do króla.

— Do króla?

— Tak jest.

— Ale dla czegoż ja...? wykrzyknął Andrzej, nie mogąc zaczętego zdania dokończyć.

Łowiec się uśmiechnął.

— Król kazał was zawołać, a czego od was żąda, to wam zapewne oznajmi, bom ja się go o to nie pytał. Tego jednak możecie być pewnymi, że na śmierć nie idziecie!...

Andrzej na ostatni żart nieco się obruszył. Nie miał jednakże ani czasu, ani chęci żart odeprzeć żartem, więc musnął tylko wąsa, poprawił ubioru, i z sierdzistą miną, ale z bijącym sercem ruszył za swym przewodnikiem do króla.

Aczkolwiek odległość wynosiła kilkadziesiąt kroków do miejsca, gdzie się król znajdował, jednakże Andrzejowi wydawało się to zbyt krótko. Wychowany bowiem w lasach, nie czuł w sobie tyle odwagi, aby z królem miał śmiało rozmawiać. Sierdzista jego mina zdradzała pozornie junaka, lecz ktoby był zajrzał w duszę leśnika, byłby się przekonał, że ów sierdzisty junak odmawiał w myśli: „Pod Twoją obronę!...” Król, to nie nadzorca lasów; a nawet i przed tym trzeba się składnie i gładko wysłowić... a cóż dopiero przed królem!... Radby więc biedak uniknął zaszczytu mówienia z monarchą, pomimo, że dumnie oglądał się w około, jakby chciał do obecnych mówić: patrzcie, com zacz! Król mnie woła przed siebie i chce ze mną mówić!...

Wreszcie Andrzej zbliżył się do króla. Król otoczony gronem panów siedział na wzniesieniu, na prędcie urządzonej, służącem za krzeselko, obok takiegoż samego, całkiem naturalnego stołu. Ów stół nie był niczem więcej jak ławą, urządzoną z kilku nieciosanych drągów, opartych na wbitych w ziemię kołkach sękatych.

Wśród wesołej rozmowy nie uważał początkowo monarcha na stojącego w pewnem oddaleniu wyprostowanego Andrzeja. Dopiero po jakimś czasie, ujrawszy wysłańca, domyślił się, co Andrzej za jeden, i skinął na niego.

Andrzej z czapką w rękę przystąpił bliżej.

Król zmierzył oczyma leśnika. Podobała mu się widocznie jego sierdzista mina, a że sam wła-

śnie był w dobrym humorze, przeto ściągnął usta do śmiechu.

— Witajcie mi, Andrzej! zawołał król wesoło, może jeszcze nie wiesz, jak się dzisiaj spisał twój wychowaniec, Mazepa.

Leśnik zadrżał.

— Najjaśniejszy Panie, wybelkotał, przebacz, jeśli co źle zrobił, bo to jeszcze młodziak, bo... bo...

Król rozśmiał się na głos, a panowie serdecznie mu zawtórowali.

— Nie mam mu co przebaczać, mój ojczy, mówił dalej król, zaprzestając wesołości, owszem wiele mu winienem. Widzę, że jeszcze nie wiesz co zaszło. Oto twój wychowaniec uratował mi życie, kładąc trupem niedźwiedzia, który niezawodnie byłby mnie rozszarpał. A co? nie dzielny to człowiek, chociaż, jak mówisz, jeszcze młodziak?

Andrzej słyszał wprawdzie słowa królewskie, ale ich w całości nie mógł pojąć, dopiero gdy go objaśniono ze wszystkim, co zaszło, lica jego się rozjaśniły, a łza radości zabłysła w oku.

— O Boże! zawołał rozczulony, wznosząc ręce ku niebu, jakże ci mam za to podziękować!... O błogosławiona, stokroć błogosławiona niech będzie chwila, kiedym Mazepę przyjął do mego domu!

— Masz słuszność, starczy, odezwał się na to król poważnie, chwila ta niech będzie błogosławioną, bo bez niej może nasz dzisiaj wesoły orszak zmieniłby się w żałobny. Zdaje mi się, że dla nas wszystkich przyniosła ona szczęście... Po-

wiedz mi mój starcze, jak się Mazepa sprawował od czasu, kiedyś go wziął do siebie?

— Dobrze, odrzekł Andrzej, tylko, że jemu pokutuje ciągle po głowie, że jest szlachcicem, że widział..

— Matkę po jej pogrzebie! przerwał król, wiem o tem i niezadługo dowiemy się prawdy, gdyż rzecz tę zbadamy ściśle. Tymczasem Mazepę wezmę ze sobą. Że on sam mi mówił, iż nie chciałby cię na stare twoje lata pozostawiać samego, przeto pan starosta da ci dożywotnie utrzymanie na swym dworze, bo zresztą czas, aby ciebie wyręczył młodszy, a ty żebyś w twym wieku wypoczął po trudach. Bądź więc w pogotowiu, gdyż jeszcze dzisiaj biorę ciebie i Mazepę ze sobą.

To rzekłszy, skinął ręką na znak odejścia, lecz Andrzej na to nie zważał, tylko jak długi legł u nóg królewskich.

— O! Najjaśniejszy Panie i Królu, zawołał ze łzami, czemuże ja sobie na tyle łaski zasłużyłem!

— Zasłużyłeś, mój przyjacielu, odrzekł mu król łagodnie, a to, co cię dzisiaj spotyka, jest nagrodą samych niebios za to, żeś się ulitował nad biednym sierotą... Idź teraz z Bogiem i przygotuj się do podróży!

Andrzej powstał i odszedł chwiejnym krokiem, gdyż szczęście duchowe zdawało się odbierać mu siły cielesne.

Zaczął więc szukać Mazepę. Znalazł go wreszcie opartego o drzewo i zadumanego.

— Chłopcze, zawołał Andrzej, chodź, niech



cię uściskam! O! jak błogosławię chwilę, kiedym cię ujrzał po raz pierwszy!

I po tych słowach przycisnął młodzieńca do siebie.

— Rozmawiałem z królem jegomością, rzekł po chwili uniesienia.

— Z królem? zapytał niedowierzając Mazepa.

— Tak, z królem, odpowiedział, mówił mi że cię zabierze ze sobą, zapewne do stolicy! Czy nie cieszysz się z tego?

W oczach Mazepy zabłysnął jakiś niepojęty ogień.

— Do stolicy!... czy się cieszę z tego? — wyrzekł z dziwnym wyrazem twarzy. — Jeżeli mam prawdę powiedzieć, to powiem, że sam nie wiem... Dotąd byłem wolnym, a teraz... a teraz mam zostać sługą...

— Ale sługą samego króla! — zawołał zdziwiony Andrzej, słyszysz, samego króla!...

— Dla mnie to wszystko zarówno... czy sługą pana jakiego, czy króla... zawsze sługa jest sługą, a kto służy, wolność traci.

— Cóż to? zawołał przerażony leśnik, czybyś nie chciał korzystać z łaski królewskiej?

— A owszem, odpowiedział Mazepa, łaskę królewską uważam zawsze za rozkaz, lubo w delikatnej formie, a więc trzeba być i łasce posłusznym. Zrobię, jak mi polecą.

Leśnik nie czekał za niczem więcej, tylko ze sercem przepelnionem radością pobiegł do towarzyszy, aby im swoje oznajmić szczęście. Niewy-

glądał teraz też już tak potulnie, jak wobec króla, lecz znowu sierzysto i junakowato.

Tymczasem Mazepa chodził zamysłony.

--- Wolność!... mruzczał do siebie, ach! żegnaj złota wolności!... Wolałbym stokroć miléj bujać po lasach lub stepach wolnym, aniżeli deptać po dywanach jako sługa... Ach! żegnaj złota wolności!...

Już było dobrze z południa, kiedy król ze starostą i innymi panami odjechali konno do mieszkania starosty, a reszta łowców ze zwierzyną i bagażami ruszyła za nimi. W tym orszaku znajdował się także Mazepa z Andrzejem.

Nazajutrz rano, po czułem pożegnaniu z Andrzejem, odjechał Mazepa w towarzystwie dworzan królewskich do stolicy Polski, do Warszawy.

Niezwykły widok przepysznych gmachów i życia po ulicach Warszawy wywarł nie małe wrażenie na umyśle Mazepy. Przepych znany mu był wprawdzie z lat młodocianych, jednakże później był tylko wychowawcem samotnej wsi, a następnie lasów w towarzystwie Andrzeja. Wrażenia z lat dziecinnych już się zatarły, a pozostały z biednej chatki leśnika i z dzikich lasów. Nic więc dziwnego, że Mazepa wodził osłupiałemi oczyma na około, a na widok zamku królewskiego nie mógł powstrzymać okrzyku zdziwienia.

Ochmistrz królewski miał już polecenie wziąć Mazepę w swoją opiekę. Przeznaczono mu osobne mieszkanie, lecz nie dano mu stałego zatrudnienia, albowiem król rozkazał czekać na sprawozdanie starosty, ile opowiadanie Mazepy mieściło w sobie prawdy.

Smutne nastały czasy dla Mazepy. Aczkolwiek nie miał stałych obowiązków, jednakże za to tem więcej niestałych, przypadkowych, gdyż każdy nim rządził i do posług go używał, mianowicie paziowie królewscy.

Historja Mazepy znaną już była dworzanom na zamku, a nawet gruchnęła wieść, że w razie sprawdzenia się tego, co Mazepa o sobie opowiadał, zamierza go król mianować paziem przy swym boku.

Pogłoska ta nie mało sprawiła nieprzyjemności Mazepie. Paziowie wszyscy byli to synowie wielkich domów, lśniący tytułami i herbami, a przytem wszyscy majątni. Tymczasem któż był Mazepa? Oto jakiś chudziak, zdziczały w lasach, może nawet nie szlachcic, a jeżeli szlachcic, to nigdy nie mógł poszczycić się szeregiem przodków świetnego imienia.

Z tego względu przyszli towarzysze dokuczali mu, jak mogli, nie zważając na to, że Mazepa ma być ich przyszłym towarzyszem, a nawet ze względu na zajście w lesie z niedźwiedziem był w posiadaniu osobliwszej łaski króla.

Tymczasem upływały dni, tygodnie, miesiące a sprawozdanie nie nadchodziło, ani też Mazepa nie miał sposobności mówienia z królem. Och! życzył on sobie téj sposobności gorąco, i to z powodu znęcania się nad nim jego przyszłych towarzyszy. Lecz to życzenie nie pochodziło z chęci użalenia się na swych dręczycieli, tylko chciał króla

prosić, aby go zwolnił i odesłał znowu do Andrzeja, gdzie był tak wolnym, swobodnym!

Mazepa był zawsze smutnym, lubo smutku po sobie nie zdradzał. Wśród gwaru i hałasu, wśród zgiewku i śmiechów on czuł się samotnym, a wzdychał jedyne za swobodą. Często całemi godzinami siadywał i wzrok nieruchomie wycężał na około. Czy wpatrywał się w życie uliczne? czy go nęciły zabawy i gonitwy na dziedzińcu zamkowym? O bynajmniej! Jego oko tkwiało w przezroczystem przestworzu i śledziło hyże loty jaskółek, to gołębi, to innego ptactwa, które wolno bujało wesoło, nie czując żadnych na sobie więzów...

Właśnie dziś był w takim usposobieniu, i z oczyma wytrzyszczonemi w błękitne przestworze dumiał sobie o minionój przeszłości, gdy nagle drzwi się otworzyły i wpadł do jego pokoju sam ochmistrz.

Mazepa spojrział na niego niekoniecznie wesołym okiem, bo mu żał było przerwanego marzenia.

— Chodź ze mną, Mazepo, zawołał krótko, lubo uprzejmie.

— Dokąd? po co? zapytał Mazepa mechanicznie.

— Zaraz się dowiesz.

Mazepa w milczeniu poszedł za ochmistrem, który go zaprowadził do szatnego.

— Król jegomość rozkazał natychmiast przyodziać Mazepę jak najprzyzwoiciój, rzekł ochmistrz, gdyż Mazepa ma być przed niego stawionym. Nie-

zadługo przyjdę znowu, aby go zaprowadzić na pokoje królewskie.

Szatny się skłonił i natychmiast zajął się ubraniem Mazepy. Wybrał paradne szaty, stósownie do wzrostu Mazepy, i w momencie zrobił z niego paradnego młodzieńca. Sam ochmistrz, przyszedłszy po Mazepe, nie mógł mu odmówić pochwały.

Mazepa wprowadzony przed króla, ujrzał się na sali kapiącej od złota. Król, otoczony orszakiem strojnych pań i panów, spojrział na Mazepe, a na ustach jego zagrał uśmiech zadowolenia. Panowie z podziwem spoglądali na młodzieńca, a pannie na jego widok nie mogły przytłumić lekkiego okrzyku zdziwienia.

Był też to dorodny młodzian, jakich szukać. Twarz napiętnowana dumą zdawała się mówić, że to jaki udzielny książę, a przytem regularność rysów i świeżość młodzieńcza czyniły z niego wzór męskiej piękności.

Ubiór przyczynił się nie mało do podwyższenia jego cielesnych zalet. W samej rzeczy bardzo mu było do twarzy w krótkim aż do kolan żupanie z drogiej materyi, koloru jasno lilijowego, ozdobionym złotemi kwiatkami; kontusz na nim był atlasowy, pieprzowego koloru, podbity lilijową atlasową materją, ozdobiony złotym sznurkiem i brylantowemi guzikami; karabela wisiała na złotych sznurkach u pięknego pasa, obejmującego elegancko jego wysmukłą kibić.

Król chwilę z upodobaniem przypatrywał się

młodzieńcowi i z cicha coś szeptał z panami. Również i panie coś do siebie szeptały.

— Mazepo! odezwał się teraz król łaskawie, jeśli twoje przymioty duszy okażą się takie same, jak przymioty ciała, to z ciebie kiedyś może być pociecha dla całego kraju!... Sprawozdanie co do twojej przeszłości nadeszło i potwierdza twe opowiadanie, tak, że wątpliwość żadna zachodzić nie może... Zostajesz niniejszem moim paziem. Co do twego wykształcenia umysłowego odnośne rozkazy już wydałem.

Po tych słowach król skinął, a ochmistrz wyprowadził młodzieńca ze sali.

Odtąd Mazepa sprawował obowiązki pazia przy królu, a zarazem ćwiczył się nietylko w naukach, ale i we wszystkich sztukach rycerskich, młodzieńcowi na dworze królewskim potrzebnych. Umysł jego pojętny, zamiłowanie do pracy nad sobą samym, wnet stawily go na równi z innymi, i niebawem przewyższył swoich towarzyszy i stał się ulubieńcem króla.

## V.

Minęło lat kilka. Mazepa, który zawsze jeszcze był paziem przy królu, dostąpił zaszczytu, że go król przypuszczał do ważniejszych czynności, a mianowicie do załatwiania wielu interesów piśmiennych.

To zbliżenie się do króla zrodziło mu zazdrośników, z czego atoli Mazepa nic sobie nie robił.

Jak to zwykle bywa, kto chce komu zaszkodzić, ten najpierw rozsiewa fałszywe wieści.

I o Mazepie wieści tych było aż nadto, a powód do tego dawała ujmująca postać młodzieńca. Ztąd uszczypliwe języki wplątały go niejednokrotnie w rzekome zawikłania miłosne, chcąc przez to króla pobudzić do oddalenia go ze dworu.

Nie był wprawdzie Mazepa bez winy, ale król przez palce patrzył na swego ulubieńca. Jednakże w końcu zdecydował się na czas niejaki usunąć go ze stolicy, do czego właśnie nadarzała się sposobność.

Przyszła bowiem w tym czasie do Warszawy wiadomość o ponownem straszmem powstaniu Kozaków i zbuntowanej czerni chłopstwa ukraińskiego, pod wodzą Bohdana Chmielnickiego, przez Tatarów posiłkowanego. Wtedy to postanowił król wysłać do hana poselstwo, aby tenże odstąpił Chmielnickiego.

Do poselstwa mającego pójść do hana tatarskiego miał być także przyłączony Mazepa. Dowiedziawszy się o swem przeznaczeniu, zadrżał z radości. Czy tak się cieszył z posłanictwa? O! bynajmniej! Serce jego zabiło na wspomnienie dawno upragnionej wolności. Piękne szaty wydawały mu się kajdanami, a przepyszne komnaty więzieniem.

Już od dawna odpychało go coś od pałacu królewskiego i wyganiało z Warszawy. Wszystko wydawało mu się tu nudnem, jednostajnem, zabijającym. Och! lasy, stepy, hulanka konna z szablą w ręku, to był jego ideał, to było jego marzenie!

A takie marzenia urzeczywistnić mogło tylko życie kozacke!...

Dawno już zamyślał tajemnie uciec do Kozaków, ale nie nadarzała się sposobność. Teraz postanowił zamiar przyprowadzić do skutku.

Uważał to sobie za niemałą korzyść, gdy jako wysłannik króla zbada całą siedzibę Tatarów, a potem na czele Kozaków wpadnie i „pohula.“ Ta myśl wstrzymała go, że w czasie długiej podróży do stolicy hana nie umknął i nie połączył się z Kozakami\*)

Han przyjął poselstwo wspaniale i trzymał je długi czas u siebie. Rzec załatwiono pomyślnie i poselstwo zabierało się z powrotem. Sam tylko Mazepa jeszcze niechętnym był do podróży, przywiązała go bowiem do siebie piękna odaliska Sulejma, która chciała razem z nim uciekać do Polski.

Lekkomyślny Mazepa przyrzekł jój to, nie zważając na skutki tego kroku, ani też nie myśląc czyby krok taki był wogóle wykonalnym.

Już wszystko było do podróży gotowem. Mazepa zamyślony przechadzał się po gęstym ogrodzie, układając plan ucieczki do obozu kozackiego.

Nagle usłyszał szmer po za sobą. Obejrzawszy się, ujrzał jakąś starą kobietę, która na znak milczenia położyła palec na ustach.

Mazepa stanął zadziwiony.

---

\*) Podług dziejopisów za zbliżeniem się Chmielnickiego pod Zamość natychmiast ze swymi umknął do obozu kozackiego, jak to pięknie opisał nasz poeta Bohdan Zaleski w dumie o Mazepie.



— Sulejma mnie przysyła, szepnęła stara ledwie słyszalnie.

Mazepa zadrżał.

— Sulejma oczekuje cię dzisiaj w kiosku, mówiła dalej stara, staw się niechybnie zaraz po wieczornych modlitwach... Przyjdź w to miejsce, ja cię zaprowadzę.

To rzekłszy, nie czekając odpowiedzi, schroniła się czempredziej w zarośla.

— Cóż tu począć? — pomyślał Mazepa, tak bez pożegnania odjeżdżać nie można... Albo lepiej odjechać? Cóż mi nada romans, kiedy ja zamierzam co innego. Ale nie, ona taka piękna... Niech się robi co chce, pozostanę i powiem jój, że ucieczka tajemna na nic się nie zda, ale wnet wrócę na czele kozackiego hufca i zbrojną ręką wyjednam jój wolność... Tak niech się stanie!...

Po takim namyśle wrócił do swoich i oznajmił im, że mogą się puścić w podróż, on za nimi niebawem podąży.

Kiedy muezin\*) na wieży ogłosił czas modlitwy, Mazepa dosiadł konia, i wyjechawszy po za ogród, uwiązał konia u drzewa, a sam poszedł na wiadome sobie miejsce. Nie długo trwało, stara się ukazała i skinęła w milczeniu, aby szedł za nią. Przeprowadziła go przez kręte ścieżki, aż wreszcie ujrzał się Mazepa przy małych drzwiczkach, zapewne tajemnych, prowadzących w głąb

---

\*) Stróż na wieży, ogłaszający muzułmanom trzy razy dziennie godziny modlitwy.

prześlicznego pawilonu, ozdobionego połączonym półksiężycem.

Wszędzie panowało głuche milczenie, nikogo nie widać ze służby... czy przekupieni?... Tylko jakieś małe dziewczę przepyszenie ubrane wyszło na przywitanie rzadkiego w tem miejscu cudzoziemskiego gościa.

Nareszcie i dziecko odeszło, położywszy palec na usta, na znak milczenia, i Mazepa pozostał samotny. Ciemność coraz więcej zapadała, aż wreszcie niczego dojrzeć nie mógł. Zwolna księżyc rozproszył ciemności. Teraz wyszła owa dziewczynka i skinieniem kazała iść za sobą.

Mazepa wszedł do pawilonu. Zanim jednak doszedł do środka, gdy znalazł się nagle przy drzwiach kratowych. Dziewczę zapukało po trzykroć, jakaś wysoka niewiasta otworzyła i pociągnęła Mazepę za sobą. Woń cudowna owionęła awanturnika, z głębi usłyszał szmer, to Sulejma...

Nie, to nie Sulejma, gdyż po szmerze nastąpił straszny okrzyk z kilku gardzieli i szable zabłyśły przez okna w promieniach księżyca. Przerażony Mazepa zrozumiał, że wpadł w zasadzkę, że jest zdradzonym, przeto widząc, że pawilon otoczony, dobył szabli, oczekując wnijscia swych przeciwników.

Jednakże tak się nie stało, gdyż owa wysoka niewiasta, która go wpuściła, pochwyciła go silną ręką za ramię i wypchnęła bocznymi drzwiami pomiędzy klomby. Tu Mazepa usłyszał dzikie wrzaski w pawilonie. Ścisnął mocniej rękojeść szabli

i już miał się wrócić, ale wspomniawszy, że tam Sulejmy nie było, zwrócił się do ucieczki.

Nagle krzywa szabla mameluka zaświsnęła i to tak niespodzianie, że Mazepa cudem ledwo uszedł cięcia. Drugi świst szabli, ale z ręki Mazepy, położył mameluka trupem.

Czempredzój skoczył Mazepa naprzód... Niestety! przed nim murowany parkan. Bez wielkiego namysłu silnym rzutem przerzucił się na drugą stronę i w momencie znalazł się po za obrębem ogrodu.

Sądził, że już ocalony, ale sąd jego był zawczesny, gdyż téj saméj sztuki dokazało także dwóch olbrzymich mameluków, którzy zaraz na Mazepę natarli. Ale cóż pomogła brutalna siła przeciw zręczności Mazepy? Żelaza zgrzytły kilkanaście razy, a już obaj przeciwnicy leżeli u nóg zwycięzcy.

Trwało to bardzo krótko, a jednakże dość długo, aby pogoń zdołała boczną furtką wypaść na Mazepę.

Mazepa jednym rzutem oka pojął groźne swe położenie. Zajadła pogoń była za nim tuż niedaleko, a tymczasem znalazł on się na przeciwnéj pierwotnemu wchodowi stronie ogrodu, zatem dostać się do konia swego było mu zupełnem niepodobieństwem. Nie pozostało mu nic innego jak ratunku szukać w ucieczce.

Mazepa był bez wątpienia odważnym, ale z odwagą łączył także roztropność. Rzucenie się śmiało na pogoń byłby niezawodnie przypłacił życiem,

a na cóż bezpotrzebnie narażać się na widoczną zgubę bez żadnego celu! Wiedział on, że Tatar nie daruje nigdy wtargnienia do harem, i tylko śmierć przeciwnika zemstę jego nasycić może.

Przed nim rozciągały się stepy, a na nich pasł się tabun koni.

Mazepa puścił się jak strzała ku koniom, lecz i pogoń już też go dopędza. Najszybszy z nich już wzniosł miecz do cięcia, lecz Mazepa, dojrawszy poruszenie Tatara po cieni, zwrócił się nagle i uprzedzając cięcie jednym silnym zamachem rozplatał czaszkę poganinowi.

Nie oglądając się za skutkiem swego cięcia, tylko go się domyśliwając z przekleństw i okrzyków goniących, dopadł do rozbiegających się koni, dosiadł w biegu pierwszego rumaka, którego zdołał za grzywę pochwycić, i jak strzała popędził w stepy. Furknęła za nim dzida pasterza, lecz przebiegła mimo i utkwiała w ziemi.

Mazepa uderzaniem szabli płazem popędzał swego dzikiego rumaka do szalonej jazdy. Rumak, który nigdy jeszcze jeźdźca na sobie nie nosił, biegł jak szalony, aż Mazepa do jego karku przyledz musiał, bo mu silny prąd powietrza oddech tamował.

Lecz wrzaski pogoni słyhać coraz we większej za nim odległości, coraz słabiej, coraz ciszej, aż w końcu wszystko ustało. Mazepa widział się wolnym, ale gdzieś na stepie nieznanym pędzi w nieznaną stronę. Wszystko mu zresztą było zarówno, gdzie i dokąd go jego dziki niesie wierzcho-

wiec, byle tylko daleko, daleko ztąd, daleko od tego miejsca, gdzieby go oczekiwała haniebna śmierć, gdyby się dostał żywcem w ręce zapalonych szalonym gniewem Tatarów.

Wóz niebieski coraz niżej dyszel opuszczał, a księżyc coraz więcej biegł ku zachodowi, ale jazda nie ustawała. Noc na schyłku, zorza rumieni wschodnie niebo, a rumak ciągle sady lotem sokoła. Mijają góry, mijają niziny, — już dawno zjechał ze stepu, — a rumak ani myśli ustać, pomimo, że oddech jego stawa się coraz krótszym, a cały okryty pianą.

Mazepa, choćby chciał rumaka wstrzymać, nie zdołał. O nadaniu mu innego kierunku wcale nie myślał, bo mu było wszystko jedno, dokąd go zaniesie.

Rumak wbiegł w lesistą i górzystą okolice. Mazepa zauważył, że bieg konia staje się coraz wolniejszym, ale jeszcze za szybkim, aby mógł zeskoczyć bez szwanku.

Wreszcie koń się zatoczył, skłęśł na kolana. Mazepa co żywo zeskoczył, a koń runął na bok, wierzgnął kilka razy — i życie z niego uleciało.

## VI.

Mazepa szaloną jazdą tak był zmęczony, że zeskoczywszy upadł, gdyż członki odmówiły mu posłuszeństwa. Z pewnym rodzajem politowania zwrócił oczy swe na umarłe zwierzę, któremu życie

zawdzięczał. Lecz rady nie było, koń uratowałszy jemu życie, chociaż nie dobrowolnie, sam to własnym przypłacił.

Kiedy Mazepa odzyskał siły, wszedł na pobliski pagórek, aby się obejrzeć po okolicy i zobaczyć, w którą się udać stronę. W niewielkiej odległości ujrzał przed sobą sioło, a w niem ponury dwór, wystający po nad gęste drzewa.

Ucieszony zwrócił zaraz kroki w tę stronę, spodziewając się znaleźć tam przytułek, aczkolwiek nie wiedział gdzie się znajduje.

Dwór, do którego się Mazepa zbliżał, był rodzajem zamku, jakie panowie na pograniczach wołoskich i tatarskich zwykle stawiali, aby w razie napadu mieć dostateczną obronę. Wszystkie prawie dwory pod owe czasy na Podolu i Ukrainie były małemi twierdzami. Tatar wpadając do Polski nie myślał tyle o bitwie, ile o zdobyczy. Zatem napadał tylko bezbronne sioła, które plądrował, ludzi zdatnych do pracy uprowadzał w jasyr, a starce i dzieci bez miłosierdzia mordował. Skoro horda tatarska trafiła na opór uciekała po krótkiej utarczce. Obwarowanych dworów nie zaczepiała, bo do szturmowania nie miała odpowiednich narzędzi, ani czasu, wiedząc, że skoro się wieść o napadzie rozszerzy, wnet rycerstwo polskie wsiądzie im na karki, a wtedy już zapóźno uciekać z łupem. Chodziło więc Tatarom, aby wpaść niespodzianie, złupić i splądrować, a nim rycerstwo nadciągnie, już być znowu za granicą.

I to im się też zwykle udawało.

Tatarzy mieli trzy drogi, któremi wpadali do

Polski. Te drogi nazywano ślakami. Wszystkie trzy zmierzały ku Lwowu.

Ślak Kuczmieński prowadził od Oczakowa do brodu na rzece Kuczmieniu. Ślak Czarny czyli lesisty, od Oczakowa po nad Dniestrem na Czerkasy, Kaniow, Połowce, Łuck, Sokal aż do Lwowa. Trzeci ślak zwany wołoskim ciągnął się środkiem Wołoszczyzny nad brzegami Dniestru, a dalej zwracał się około źródeł rzek Ruczawy, Uczycy i szedł na Żyrków i Buczacz w kierunku Lwowa.

W tych też okolicach najwięcej znajdowało się miejsc warownych, gdyż tu każdego dnia można się było spodziewać, że się ujrzy małe skośne oczy Tatarsa, sadzącego na małym, ale zwinnym koniku.

Mazepa znalazłszy się przy warownym dworze wpadł na myśl, że przypadkiem dostał się na jeden taki ślak, którym bądź to wprost przyjechał, bądź też, skrzyżowawszy się w drodze, dostał się na takowy.

Było to rzeczywiście na ślaku wołoskim.

Zbliżywszy się do samego dworu wszedł śmiało na dziedziniec. Wyszedł mu naprzeciw jakiś mężczyzna w ubiorze narodowym. Ujrzawszy Mazepę i poznavszy po ubiorze szlachcica polskiego, zaprosił go do dworu, oznajmiając, że pana właśnie w domu nie ma, i że dopiero wieczorem przybędzie, a do tego czasu niech się we dworze rozgości.

Wprowadzony do komnaty, zaczął Mazepa rozpatrywać się po otoczeniu, a wreszcie spojrział oknem. Niedaleko widać się srebrna rzeka.

— Jak się nazywa ta rzeka? zapytał Mazepa zawiadowcy.

— Dniestr, panie.

— A to siolo?

— Bakata.

Mazepa o nic więcej nie pytał, więc zawiadowca wyszedł, pozostawiając go samego.

Po posileniu uczuł Mazepa senność. Nie dziw, że po takim wzruszeniu i po takiej szalonej nocnej jeździe siły jego potrzebowały wypoczynku.

Położył się więc i niebawem zasnął twardo.

Kiedy się obudził i spojrzał na niebo, przekonał się, że spał prawie całą dobę, gdyż słońce stało na niebie prawie tak samo wysoko jak wczoraj kiedy się zabierał do spoczynku. Wyszło mu to atoli na zdrowie, gdyż uczuł się rześkim i sprężystym, jak dawniej.

Pan dworu powrócił już wczoraj do domu i już wczoraj, dowiedziawszy się o gościu, sam poszedł na jego powitanie. Gość jednakże spał twardo i nic nie zdołało go przebudzić. Już miano obawę o jego życie, gdyż tak twardy sen zdawał się wszystkim być nienaturalnym.

Ucieszył się więc pan dworu, kiedy wszedłszy nazajutrz zastał swego gościa rześkim i zdrowym.

— Witam waszmości w mych progach, odezwał się gospodarz domu, i rad jestem, że widzę go zdrowym.

— A ja przepraszam, odrzekł uprzejmie Mazepa, że może nadużyłem praw gościnności.

— Bynajmniej, odrzekł uprzejmie gospodarz,



dom Dagomira na Bakacie stoi dla gości otworem, i każdy gość mile w nim widziany, bez względu na to czy jest znajomym, czy nie.

Ostatnie słowa wymówił z przyciskiem, dając przez to poznać, że chciałby wiedzieć, kto jest jego gościem. Domyślił się też tego Mazepa i już usta otwierał do wymienienia swego tytułu, gdy nagle zbladł i zachwiał się.

Dostrzegł to Dagomir.

— Waszmość jesteście jeszcze chorym, rzekł ze współczuciem, zatem wypocznij jeszcze...

— O nie, nie, odrzekł szybko Mazepa, to słabość przemijająca... już przeminęła... już... W dom waszmości sprowadził mnie niemiły wypadek. Chciałem jechać do Lwowa, lecz zabłąkałem się i koń mój padł tu niedaleko. Chcąc nie chcąc musiałem szukać na waszym dworze gościnności, nie mogłem bowiem ani ze znużenia iść dalej pieszo, ani też nie wiedziałem, w której stronie świata się znajduje. Wychowany w zaciszu Podola, nie znam dróg i traktów, dla tego łatwo było mi się zabłąkać, i ztąd Jan Trechtymowicz ma zaszczyt poznać waszmości dobrodzieja i skorzystać z jego gościnności.

— Nie było i nie jest moim zwyczajem pytać gościa o nazwisko, odrzekł uprzejmie gospodarz, lecz kiedyś waszmość sam się nazwał, tem mi przyjemniej.

Niebawem wszedł służący i zaprosił do stołu.

Wszedłszy do sali jadalnej, zastali tam już nadobną gospodynią domu.

— Otóż nasz gość, Marysienko, przedstawił gospodarz, Jan Trechtymowicz, a to moja żona.

Pani Dagomirowa lekkim ukłonem przywitała Mazepę, ledwo pobieżnie spojrzawszy na niego okiem. Natomiast pilniej wpatrzył się w nią Mazepa, porównywając ją z otyłym, ociążalym i od wina czerwonym Dagomirem.

Gospodarz był przy stole nader wesołym, podczas gdy gość i pani domu milczeli.

— Waszmość zagrzebany gdzieś w kącie Podola, zaczął Dagomir, ani pewnie nie wiesz, co się w świecie dzieje.

— W saméj rzeczy, — odrzekł Mazepa, nie wiem, bo trudniąc się gospodarstwem...

— Co innego cię nie obchodzi, przerwał Dagomir. Najważniejszą jest to, że król Jan Kazimierz złożył koronę.\*) Co waszmość na to?

Mazepa dobrze o tem wiedział, lecz raz podjętej roli z ważnych bardzo powodów porzucić nie mógł.

— Ha, rzekł obojętnie, korona widocznie królowi ciążyła.

— Masz słuszość, waszmość, panie Trechtymowiczu, potwierdził gospodarz, nie mało bowiem musiał się opędzać to Szwedom, to Kozakom... Gdyby nie Czarniecki byliby go zjedli Szwedzi, a gdyby nie hetman Sobieski, to Turcy i Tatarzy.

Nastąpiła chwila milczenia. Mazepa strzelił okiem z boku na gospodynię domu, ale zadrżał, wi-

---

\*) 16 września 1668 roku.

dząc, że blada przerażonym patrzyła na niego wzrokiem. Ujrawszy, że on na nią zwrócił swe oczy, spuściła swoje i już więcej nań nie spojrziała, a nawet pod jakimś mało znacznym pozorem powstała od stołu i odeszła.

Mazepa sam był bardzo wzruszony. I nie dziw, gdyż w Dagomirze poznał swego stryja i opiekuna, żony zaś jego nie znał, ale domyślał się, że ona go zna. Dagomir zaś bratanka swego nie poznał i uważał go tylko za tego, za kogo sam mu się przedstawił.

Przeczuwał ztąd Mazepa, że go jakaś niespodzianka oczekuje, która niewiadomo, czy mu wyjdzie na korzyść, czy się skończy pomyślnie, czy nie. W jego duszy odświeżyły się zatarte już wspomnienia, obraz matki przed śmiercią w trumnie, a w końcu widzenie po jej śmierci. Dreszcz go przechodził, ile razy spojrzął na swego byłego opiekuna. Albowiem wiedział już, że Dagomir zabrał wioskę jego rodzinną na własność, ponieważ ojciec Mazepy miał mu ją przed śmiercią zapisać. Dagomir był w posiadaniu odnośnego pisma, lecz Mazepa pismo to uważał za podrobione, nie mogąc przypuścić, aby ojciec wydziedziczał bez powodu żonę i dziecko. Że żona należała do majątku, przeto według domysłu Mazepy opiekun usunął ją przez Włocha, a jego chciano wywieźć gdzieś w obce strony, gdzieby albo wszelką pamięć na dawne czasy w nim zatarto, albo go innym sposobem uczyniono nieszkodliwym.

To były myśli, które Mazepie piorunem prze-

biegły po głowie. Z tego też powodu był milczącym, a kiedy zmuszony był mówić, roztargnionym i niejasnym.

Dagomir mało się o to troszczył, za to po odejściu żony tem mocniej zaglądał do kielicha, aż w końcu zakraśniał cały na twarzy, jak burak. Znajdował się w najlepszym humorze, lubo go to nieco gniewało, że gość do kielicha się nie zabiera.

Dagomir gościa nie puszczał, lecz starał się wplątać go w rozmowę. Mazepa przeciwnie chętnieby oddalił się do przeznaczonej mu komnaty. Zauważył to wreszcie sam Dagomir, a przypisując to jeszcze słabości, odprowadził sam gościa aż do drzwi pokoju.

Mazepa ujrawszy się sam, zaczął szerokimi krokami chodzić po komnacie, a myśli jego wiły się i plątały. Zamierzał najprzód Dagomira siłą zmusić do zeznania, czy rzeczywiście zapis był autentycznym, prawdziwym, i czy matka rzeczywiście umarła, czy nie.

Lecz przyszły mu do głowy inne myśli. Może wreszcie być wszystko prawdą, a wtedy prędkość jego wystawiłaby go na śmieszność z jednej, i rozliczne nieprzyjemności z innej strony. Postanowił więc na razie niczego nie przedsiębrać, lecz spokojnie zaczekać, aż się jaka stósowna nadarzy sposobność.

W tym samym czasie, w przeciwnej stronie dworu, jeszcze jedna osoba była niespokojną i walczyła sama ze sobą, może nawet o wiele więcej

aniżeli Mazepa. Była to pani Dagomirowa, która w téj chwili żywo nim się zajmowała.

Poznała go przy stole i wiedziała już co za jeden, pomimo przybranego nazwiska. Widziała go w czasie swój bytności we Warszawie, a historią jego od dzieciństwa znała dokładnie. Teraz kiedy się Mazepa zjawił niespodzianie, nagle, a zmienił przytem nazwisko, domyśliwała się tajemnicy, którą zgadywała według stanu rzeczy dobrze jój znajomój. Sądziła, że Mazepa znajduje się tu nie jako gość, że nie przybył tu zbłąkany, lecz owszem przyjechał z wiedzą do kogo i po co, jako mściciel doznanych krzywd od bezsumiennego Dagomira.

Zadumana, siedziała czas jakiś nieruchoma w krześle. Myśli jój biegały i krzyżowały się tak, że i zebrać ich i porządnie ułożyć nie mogła.

Wreszcie zdawało się, że powzięła plan, ale plan ten musiał być rozpaczliwy, bo się wzdrygnęła.

— Ależ to zdrada męża, rzekła sama do siebie, a on sobie na to u mnie nie zasłużył!... Lecz znowu z drugiej strony uczucie ludzkości mi to nakazuje i myśl, że dwoje ludzi będzie szczęśliwych, złagodzi mój los, jaki mnie wtedy oczekiwać będzie... O! Mazepo! Mazepo!... gdybyś ty nie był zajrzał w nasze progi!... Lecz postanowienia mego nie zmienię...

Tymczasem nadszedł wieczór a z nim i chwila, kiedy Dagomir z Mazepą siedzieli przy stole. Pani Dagomirowa wcale się nie pokazała, co Mazepę zdawało się zadziwiać, lecz nie pytał o nią.

Gospodarz był wielomówny skutkiem częstych kielichów, opowiadał Mazepie długo i szeroko o swych rozległych włościach, o znaczeniu i o wszystkim, z czego był dumnym.

— Na uczczenie waszmości, rzekł, rozporządziłem na jutro łowy w mych kniejach. Waszmość jesteś młodym, to zapewne sprawię mu przez to przyjemność.

Mazepa oczywiście zaręczył, że mu to będzie przyjemnem, pomimo, że do zabawy żadnej nie miał ochoty.

Dagomir na dobre pijany ze serdeczności zaczął wpadać w gniew na kogoś nieobecnego. Mazepa, widząc oczy jego zdziczałe, ze zdumieniem wpatrywał się w swego gospodarza, który coś mruzczał sam do siebie, uderzał często pięścią w stół i zdawał się zapominać o gościu.

— Panie Dagomirze, odezwał się Mazepa, co się waszmości stało?

— Mnie? nic, odrzekł Dagomir, tylko ten przekłety Włoch przychodzi mi zawsze przed oczy, kiedy widzę jakie rysy przypominające mi...

Tu urwał.

Mazepa zadrżał, gdyż widocznie Dagomir wpadł w szal pijacki, który mu na widok rysów twarzy Mazepy przywiódł na pamięć Włocha, owego Antonio Gambino. Serce Mazepie mocniej zabiło, gdyż nadarzała się sposobność dowiedzenia się czegoś.

— Tak jest, rzekł Mazepa na chybił trafił, to największy truciciel ten Gambino.

— Ha! truciciel!... Gambino... bełkotał pijany Dagomir, tak jest, on truciciel... sprytny człowiek, ale go już czart porwał, chociaż tam oto stoi... tam...

Tu wskazał palcem na pusty kąt komnaty. Zerwał się potem i chciał biec ku widmu, istniejącemu tylko w jego wyobraźni, ale siły go opuściły i opadł napowrót na siedzenie.

Mazepa nie miał ochoty popuścić sposobności.

— Czy Zuzanna umarła?... szepnął Dagomirowi na ucho.

Dagomir się wzdrygnął.

— Włochu przekłety!... bełkotał niezrozumiale, na co mnie pytasz?... wszakże sam wiesz... Ha!... róża... trucizna... trumna... Włoch...

Ostatnie słowa domówił już chrapiąc; sen pijacki go opanował. Mazepa jeszcze raz schylił się do ucha i powtórzył pytanie, ale już nie odebrał odpowiedzi.

— Ha! rzekł do siebie Mazepa, otóż zabójca méj matki wpadł mi w ręce!... I czemuż nie zduszę tego potwora w ludzkim ciele? Za czem czekam?... On wprawdzie sam zbrodni nie dokonał, tylko użył niegodziwego Włocha za narzędzie, ale czyż go to uniewinnia?... Och! zemszczę się, pomszczę śmierć méj matki, ale jeszcze nie czas. Samo zabicie tego człowieka méj zemsty nie nasyci!... Dam mu jeszcze życie... do czasu... aż wpadnę na czele Kozaków... och! wtedy biada ci trucielu!...

Po tych słowach przystanął i zwrócił oczy na chrapiącego Dagomira, mającego głowę o stół opartą.

Mazepa nic nie mówił, tylko w zamyśleniu chodził ze skrzyżowanemi rękoma po komnacie. Za to w jego sercu gotowało się i wrzało, ledwie namiętności piersi nie rozsadziły. Trzeba było z jego strony żelaznej woli i olbrzymiej władzy panowania nad sobą, aby się nie dać unieść do nierozważnego czynu.

Trwało to długi czas. Naraz Dagomir się zerwał.

— Cóż to? zawołał, ja spałem?

— Tak jest, odezwał się ponuro Mazepa.

— Czy nie gadałem co we śnie? zapytał trwożliwie, bo to mam czasem we zwyczaju, kiedyś zmorzony winem.

— Waszmość coś niezrozumiale mrucałeś, rzekł na to Mazepa po niejakiem ociąganiu się, lecz nic z tego nie można było zrozumieć.

Dagomir widocznie odetchnął. Wyrzeźwił nawet, a chociaż oczy jego były krwią naszłe, jednakże mówił całkiem po trzeźwemu.

— Przepraszam waszmości, rzekł uprzejmie, że jako gospodarz nie uszanowałem gościa. Lecz to nie moja wina, tylko butelka, do której za często zaglądałem... Przeklęte wino! muszę go się wyrzec raz na zawsze.

To rzekłszy kopnął nogą pod stołem leżącą butelkę, aż zadźwięczało.

Pomimo usiłowań gospodarza rozmowa ustawała, przeto pożegnano się i każdy odszedł do swój komnaty.

Lecz ani jeden ani drugi spać się nie poło-



żyli, Dagomir dobrze znał swe usposobienie, przeto ani nie wątpił, że we śnie gadał. Ale co? i ile z tego gość rozumiał?... tego odgadnąć nie umiał i to go też najwięcej przerażało.

Mazepa tymczasem chodził po swój komnacie i rozmyślał nad wszystkim co słyszał. Jak długo tak chodził, sam nie wiedział, domyślał się jednakże, że bardzo długo, bo gdy dostąpił do okna, gwiazdy już północ wskazywały.

Nagle usłyszał poruszenie klamki. Ciekawy, co to ma znaczyć, zwrócił oczy na drzwi, które się otworzyły i jakaś postać niewieścia szybko weszła i drzwi za sobą zamknęła. Przystąpiwszy kilka kroków naprzód, rzekła półgłosem:

— Nie wyjeżdżaj pan jutro na łowy.

Mazepa, nie mogąc wyjść z podziwienia, zapytał:

— A dla czegoż to?

— Pani jutro oznajmi.

— Pani?

— Tak jest, ona mnie tu przysłała.

— Lecz cóż pani na tem zależy?

— Chce się z panem sam na sam widzieć.

Nie wyjeżdżaj więc na łowy, a nie pożałujesz.

To rzekłszy nieznajoma zwróciła się szybko i nim mógł Mazepa jeszcze stawić jakie pytanie, już była u drzwi. W progu, jak się Mazepie zdawało, nieco się zatrzymała, lecz nagle znikła, zamknąwszy drzwi za sobą.

Mazepa stał czas niejaki zadumany. Cóż to znaczy? pytał sam siebie, czy to sen? czy ja ma-

rzę? Cóż może chcieć Dagomirowa odemnie? i to tak tajemniczo?

Lecz do jutra przecież nie tak daleko.

Tymczasem w komnacie Dagomira całkiem inna odgrywała się scena.

Dagomir w zamyśleniu nie uważał, że drzwi się otworzyły i jego zawiadowca wszedł do komnaty. Trzeba było silnego krząknienia ze strony przybyśsza, aby na siebie zwrócić uwagę swego pana.

— Czegoż chcesz? zapytał szorstko Dagomir.

— Panie, rzekł zawiadowca, przywiązanie moje do ciebie sprowadza mnie tu o tak późnej porze.

Dagomir stanął zdumiony.

— Przywiązanie?... sprowadza?... gadajże człowieku, o cóż ci chodzi?

— Przykro mi i bolesno, zaczął znowu pokornie zawiadowca, lecz honor mego pana każe mi się przewyciężć.

— Do milijon kroć?... wrzasnął Dagomir, dosyć gadaniny próżnej! Powiedz, co cię tu przywiodło?

— Panie, rzekł teraz zawiadowca pewnym głosem, nasz gość jutro na łowy nie wyjedzie!

— A to czemu?

— Bo ma się widzieć z panią sam na sam. Lecz ledwie tych słów domówił, uskoczył na bok, gdyż Dagomir, jak tygrys rozjuszony, skoczył ku niemu.

— Schowaj twój jaszczurczy język! zakrzyknął, albo cię w kawałki rozsiekam!

— Panie, zaczął znowu zawiadowca, gdybym

nie był pewnym swego, nie odważyłbym się na podobne słowa, lecz wiem dokładnie. W téj chwili była u gościa pokojowa saméj pani, a ja słyszałem pode drzwiami każde słowo.

Tu opowiedział słowo w słowo rozmowę pokojowój z Mazepą.

Dagomir zbladł jak ściana. Jednakże wszelkie oburzenie, wszelką zgrozę umiał ukryć w sobie, tylko zęby zacisnął.

— I cóż ty o tem sądzisz? zapytał po chwili.

— Domysł mój, o panie, odrzekł zawiadowca, może że trafny, może że i nie. W każdym razie ośmielę się go wyjawić.

— Więc mów.

— Gość nasz przybył niby to jako zbłąkany, mnie się jednak zdaje, że on dobrze wiedział dokąd przybył i po co. Zapewne jaki dawny...

— Dosyć, przerwał mu Dagomir, tak jest zapewne. Dawny kochanek méj żony przybywa odwiedzić swą miłą, a ta nie czekając, aż on ją poprosi o sam na sam, uprzedza już jego dobre chęci... Ha! ha! ha! zaśmiał się szatańsko, nie będziemy przeszkadzali!

Tu ze zawiadowcą długo jeszcze mówił, a potem śmiejąc się złowieszczo odprawił zawiadowcę na spoczynek.

## VII.

Zaraz ze świtem rozległa się na dziedzińcu wrzawa, słychać było skowyczenie psów i rżenie koni, a tedy i owedy zagrzmiała trąbka myśliwska.

Dworzanie gotują się na łowy, a może i okoliczna szlachta się zbiera.

Mazepa słyszał to wszystko. Znowu w jego duszy powstała walka, albowiem roztrząsał pytanie, czy pozostać, czy też ruszyć z Dagomirem. Rozsądek radził wyruszyć na łowy, a jakiś awanturniczy pociąg skłaniał go do pozostania.

Ostatni zwyciężył i Mazepa wchodzącemu do niego służącemu oznajmił, że dla słabości na łowy udać się nie może.

Służący odszedł a Mazepa pozostał, zbierając w myśli różne powody, któremi swe pozostanie w domu usprawiedliwi przed Dagomirem, gdyby go ten o to zapytał.

Tymczasem myśliwi na dany znak trąbką z głośnym okrzykiem odjechali. Mazepa przyskoczywszy do okna ujrzał Dagomira, sadzącego konno na przodzie.

Uśmiechnął się Mazepa na ten widok szyderczo, a potem zaczął się zwolna ubierać, i z niecierpliwością oczekiwał na chwilę, w której miał z Dagomirową się widzieć.

Około dziesiątej godziny ukazała się we drzwiach ta sama pokojowa, co wczoraj, i wezwała go, aby przyszedł na pokoje pani.

Mazepa z bijącym sercem poszedł za pokojową. Ta wskazała mu drzwi, a potem sama udała się w iną stronę gmachu.

Mazepa wszedł.

Na bogatym otomanie siedziała blada pani Dagomirowa. Wyglądała jak prześliczny posąg alabastrowy, w którego Stwórca wlał życie. Mazepa,

który tyle widział piękności, a które na niego jednak nie zrobiły wrażenia, nie mógł się wstrzymać od wybuchu podziwienia. Ukłękł na jedno kolano i zawołał ze zapałem:

— O, piękna pani! otóż jestem na twe usługi, którebym pełnił chętnie do końca mego żywota.

— Mazepo! rzekła półgłosem Dagomirowa.

Mazepa, lubo domyślał się, że jest poznanym, jednak nie mógł powstrzymać lekkiego okrzyku.

— Pani mnie znasz? zapytał, powstając.

— Sam widzisz, że znam. Ty zaś może nie wiesz, gdzie i u kogo się znajdujesz.

— O pani, wiem to dokładnie, wiem kto jest Dagomir, tylko on mnie nie pznał.

— Więc przypadkiem tylko przyjechałeś tu dotąd?

— Tylko przypadkiem, zaręczam na mój klejnot herbowy.

Dagomirowa się nieco zamyśliła.

— Gdzież jest twoja matka, Zuzanna?

— Moja matka...

Nie dokończył, bo w tej chwili drzwi się na rozcież rozwarły i z Dagomirem na czele wpadło kilku z gołemi szablami. Mazepa, jak piorunem rażony, stanął osłupiały, lecz w tej chwili oprzytomniawszy dobył również szabli.

— A tuś mi ptaszku! krzyknął Dagomir, także się pobłąkał, żeś w lesie trafić nie umiał, ale znasz drogę na pokoje méj żony!...

Na te słowa Dagomirowa z krzykiem rzuciła się pomiędzy napastników a Mazepę.

— Mężu! zakrzyknęła, on niewinny, jam go  
kazała zawołać!... Mazepo! matka twoja jeszcze żyje!!  
Po tych słowach usunęła się i omdlała.

Dagomir skoczył jak dzik.

— Mazepa?... matka jego żyje!... Ha! rozumiem — amant tak się daleko wkradł w serce mojej żony, że ta zdradza tajemnicę... Hola! pojąć go!

Wszystko co tu opisaliśmy stało się prawie równocześnie, w jednej chwili, tak, że Mazepa nie mógł przyjść do przytomności. A kiedy potem wzniosł szablę do obrony, już się ujrzał rozbrojonym i powalonym, a następnie skrepowanym.

Podczas kiedy Dagomirową ułożono na otomannie, zniesiono Mazepę na dziedziniec i posadzono na ziemi.

Dagomir stanął przed nim blady i drżący.

— Mazepo! zawołał, wszedłeś do mego domu podstępem, aby mnie shańbić. Lecz zapomniałeś, żem ja tu panem, panem życia i śmierci. Na coś zasłużył, to ci się stanie i odbierzesz, co ci nieraz przyrzekano... Chłopczy do dzieła!

To rzekłszy wsiadł na konia i odjechał znowu na łowy.

— Trucielu!... wrzasnął za nim Mazepa. lecz nie odebrał odpowiedzi.

Pachołcy doskoczyli do Mazepy, unieśli go w górę i poczęli zdzierać z niego odzienie. Mazepa, nie rzekłszy ani słowa, oczekiwał z rezygnacją, nie domyślając się wcale losu, jaki mu zgrają gotuje. Widział przed sobą rumaka, który, trzy-

many przez dwóch pachołków, rwał się i wspinał, lecz żeby on miał być dla niego przeznaczonym, nie przyszło mu wcale do głowy.

A tymczasem tak było. Pachołcy obrawszy go z odzienia, przywiązali silnie powrozami wdłuż grzbietu rumaka, który wśród głośnych okrzyków, odebrawszy silne cięcie biczem, pomknął ze swym ciężarem w dzikim, szalonym pędzie.

Mazepa zamknął oczy, wstrzymał oddech, nie mogąc pojąć, co się z nim stało i co go oczekuje, gdyż wszystko to stało się za nagle, aby mógł przyjść do zastanowienia.

Ale rumak pędzi dalej. Głosy szydercze przebrzmiały w oddali, nie słysząc nic, tylko tętent kopyt końskich i parskanie dzikiego wierzchowca.

Mazepa otworzył oczy i spojrzął. Nic nie widać, jak niebo, na którym szybko przesuwiają się obłoki. Chciałby spojrzeć w lewo lub w prawo — nie może, bo jego głowa nadto silnie przymocowana do końskiej szyi.

Jakiż los go oczekuje? co się z nim stanie?

Napróżno jednak zbierał myśli, napróżno starał się je uporządkować — napróżno — nie mógł ich opanować. Jedna myśl krzyżowała drugą, a kiedy starał się utrzymać drugą, już ją trzecia zastępowała. Przed oczyma jego zaczęły tańczyć miliony ogników, a w uszach wrzało i bębniło, jakby wszystkie furye piekielne tuż obok niego wyprawiały swe harce.

A tymczasem rumak sady w tak szalonym pędzie, jakby chciał ująć przed owemi piekielnymi furyami!...

Strasznie!... strasznie!...

Czas mija... czas długi, okropny!... zapewne już wiele, wiele mil rumak ubieżał, a końca jazdy szalonej nie ma.

Może rumak wnet z sił opadnie?...

Mazepa zebrał całą energię ducha, chcąc pomyśleć o możliwości ratunku, — chcąc się zastanowić nad swem położeniem, — chcąc wyobrazić sobie, jaki możliwy koniec wzięść może ta szalona jazda.

Napróżno! Żyły nabrzmiały, krew uderzała do głowy, pierś wzniosła się do oddechu z trudnością, a powrozy głęboko wryły się w nabrzmiące jego członki.

A rumak sady równo szalenie... równo piekielnie!...

Mimo plątaniny myśli, to jednakże zdawało się Mazepie być pewnem, że jedynie śmierć go z więzów uwolnić może. Step jest długi i szeroki, rumak w tak szalonym pędzie długo nie wytrzyma i runie wycieńczony, jak ów, który go uniósł przed pogonią tatarską. Ale cóż on na tem zyska?... Nic więcej jak śmierć, śmierć okropną od drapieżnych wilków stepowych...

Wtem o radości!... wszakże to odgłos pasterkiej fujary, który jego uszu dochodzi... Ach! ten głos, to głos aniołów!... pasterz spostrzeże, wstrzyma rumaka... ach! ratunek tuż blisko!...

Rumak zarżał, a na to cały tabun odpowiedział rżeniem.

Jego dziki wierzchowiec przystanął.



Ach! jaka to błoga chwila odpoczynku!... Ach! może go pasterz przytrzyma!... Chciał krzyczeć o ratunek, ale się obawiał, aby swego wierzchowca nie spłoszyć.

Gra na fujarze ustała. Powstał pomiędzy pasterzami wrzask, niektórzy zapewne biegli na ratunek, ale napróżno. Rumak parsknął, pomknął z kopyta, wpadł pomiędzy tabun, i znowu wypadłszy sady dalej.. dalej...

Znikła nadzieja! Och! jak jeźdźcowi pierś się zaparła!...

Lecz nadziei nie trzeba tracić! Pasterzy na stepie więcej, a co się jednym nie udało, uda się drugim, może niezadługo... może zaraz...

Nadzieja! — Kiedy człowiek wszystko utracił, a ma jeszcze nadzieję, nie jest jeszcze całkiem straconym. Nadzieja ożywia, nadzieja jest nerwem żywotnym każdej duszy.

Biada, kto stracił nadzieję!

Mazepa jój nie traci, i to utrzymuje go jeszcze od postradania zmysłów. Za pomocą nadziei zmusza krew do wolniejszego obiegu, poskramnia głód i pragnienie, i zapomina o straszliwych boleściach, jakie mu powrozy zadają.

Niebo powleka się różowo... wieczór nadchodzi, a z nim tem straszniejsza noc. Ciemność zapada, Mazepa widzi tylko po nad sobą niebo mrużące milionami gwiazdek. Czy one mu wróżą nadzieję?

Wtem dochodzi uszu jego głos... głos straszliwy... potem drugi, trzeci, dziesiąty... aż wrzawa

powstaje ze stu gardzieli i coraz się zbliża... Już jest tuż... tuż...

Mazepa zna ten głos na wskroś go przesywający i ścinający w lód krew jego... to nie odgłosy ratunku... to wilki stepowe...

I rumak poczuł się w niebezpieczeństwie... pemknął, jakby mu nowych sił przybyło. Wycie wilków pozostaje w tyle... coraz dalej... coraz dalej... wreszcie znika gdzieś na stepie.

A rumak sady szalenie...

Nagle rumak spada gdzieś głęboko... głęboko!..

Czy w przepaść? czy w otchłań?

Mazepa mimowoli zakrzyknął, a w tej chwili plusk... i orzeźwiający chłód przejmuje jego spieczone członki.

Och! cóż to za dobrodziejstwo! Chłodna woda gasi jego pragnienie, oziębia krew i łagodzi ból, jaki mu więzy sprawują.

W tem rumak zaczyna się we wodzie zrywać, prąd bowiem za silny, — nie może mu podołać!... Mazepa czuje walkę wierzchowca, czuje jak zwierzę słabnie... och! więc koniec męczarni nastąpi tu... we wodzie...

Lecz nie!... Rumak dobywa ostatnich sił, przepływa szczęśliwie i wychodzi na brzeg. Tu najprzód idzie wolno, a stapania jego ciche; — zapewne miękka trawa tu rośnie. Stawa wreszcie i otrząsa się cały z ciekącej z niego wody.

Och! jak bolesnem to otrząśnienie! Mazepie się zdawało, że kawałkami odpada, a więzy tem mocniej werznęły się w zbolące ciało.

Rumak widocznie bardzo zmęczony, bo dalej nie idzie, lecz stoi... wreszcie się kładzie...

Czy się chce kulać?... czy zmiażdżyć jeźdźca, tłoczącego mu grzbiet?... och! co za okropna śmierć!...

Koń jednakże kładzie się tylko na spoczynek. Ten przecież długo nie trwa, bo go spędzają wilki. I znowu w szalonym pędzie bieży dalej, aż znowu przystawa, i znowu się kładzie.

Mazepa już nie myśli... Szalone skoki rumaka były mu miłszemi nad to leżenie, które go przerażało aż do głębi duszy. Koń układając się grubiej w kadłubie, a tem samem powrozy wrzynają się mocniej w członki. Ból niesłychany odbiera mu na chwilę przytomność, ale tylko na chwilę, gdyż znowu budzi się, aby wstrzymawszy męczarnie piekielne w nową popaść omdlenie.

Ptaki zaczynają się odzywać i rumak się podnosi. Zdziwiony, że jeszcze czuje ciężar na plecach, chociaż nie widział, aby mu go kto włożył, zaczyna szalenie się rwać i otrząsać.

Napróżno!...

Oni obaj radziby się rozstali, lecz są za mocno do siebie przytwierdzeni...

I znowu rumak sady naprzód... naprzód po miękkich łąkach, opisując większe i mniejsze koła. Potem jak strzała puszcza się naprzód... do lasu...

Mazepa tego nie widział, dopiero zauważył kiedy pierwsza gałąź zdarła mu kawał ciała z piersi... Wydał okrzyk zgrozy, już nie z przerażenia, bo był ciągle przerażonym, ale mimowolnie bez wiedzy. I teraz ustawicznie muskają go krwawo ga-

łęzie, ciernia ciało rozrywają, a krew pluży z niezliczonej liczby ran...

Ale rumak sadzi dalej a dalej...

Mazepa słabnie coraz więcej, ale dobroczynne omdlenie nie nadchodzi... on wszystkie piekielne katusze ciała i duszy znieść musi z przytomnością.

Wreszcie rumak wypada na otwarte miejsce... Mazepa odetchnął.

O radości! słyhać odgłosy ludzkie, a rumak zwalnia w biegu. Wyraźnie słyszy, a nawet rozumie głosy w narzeczu ruskiem. Wołano, aby nie strzelać tylko żywcem schwycić konia... Och! znowu mu się zdawało, że słyszy aniołów mówiących z nieba. Chciał krzyknąć, aby strzelano koniowi do nóg... napróżno, zamiast krzyku, wydobył ze siebie ledwie cichy szept!

Koń idzie wolno... rży... a głosy słyhać na około. Widocznie rumaka zewsząd otoczono...

Więc uratowany!... Lada chwilę musi jaka ręka pochwycić za grzywę... lada chwilę przetnie kto jego więzy... lada chwilę poleje kto wodą jego spalone ciało...

Napróżno!

Rumak nagle wierzgnął, zarżał dziko i w szaleńszym niż dotąd pędzie pomknął dalej... dalej...

Już niema ratunku!...

To była ostatnia jego myśl, o której wiedział. Odtąd wszystkie zmysły mu się poplątały, tak, że nie nie myślał, ani myśleć nie mógł.

A rumak sadzi dalej a dalej...

Wreszcie kiedyś, — rumak się wstrzymuje... rży... i pada.

Z upadkiem konia opuściły zmysły Mazepę całkowicie i popadł w omdlenie dobroczynne, które go uwolniło od wszystkich katuszy.

Kiedy się Mazepa obudził, spojrział zdziwiony koło siebie. Ujrzał się w izbie skromnej, a sam leżał na pościeli ze skór zwierzęcych. W pierwszej chwili nie mógł myśli zebrać i sądził że śni. Przypominał sobie wszystko co z nim zaszło, ale jakim on sposobem się tu znalazł?

Zwróciwszy oczy na bok, zobaczył przy głowach łóżka nadobne dziewczę.

— Gdzie jestem? zapytał.

— Cicho! odrzekło dziewczę, nie nateżaj się mówieniem, boś jeszcze za słaby.

— A kto ty jesteś? pytał mimo tego zakazu Mazepa.

— Jam jest twoja przyjaciółka... ale teraz więcej o nic nie pytaj, bo ci nie odpowiem... Oto napij się mleka!

Mazepa jeszcze stawił kilka pytań, ale napróżno, bo dziewczę milczało jak zaklęte. Zaczął jęć się pilnie przypatrywać.

Była też to śliczna dziewczyna. Jeszcze bardzo młoda, może z piętnaście lat licząca, i tak świeża, jak najpiękniejszy dopiero co rozkwitły pączek róży. Włos kruczy, długi, przeplatany srebrnymi tasiemkami, ujętym był w stroik bogato perłami wysadzony. Na niej sukienka, ściśle kibić jęć ujmująca, ozdobiona złotymi sznurkami.

Cała postać dziewczęcia była nadobna, ujmująca, a oczy jęj tchnące dziewiczą niewinnością pocięgały za serce.

Domyślał się Mazepa, że dziewica musi być córką jakiegoś bogacza, mieszkającego gdzie indziej, gdyż skromne umeblowanie izby, w której leżał, bynajmniej nie zgadzało się z bogatym jęj strojem.

Dziewczę, napomniawszy Mazepę, aby się zachował spokojnie, odeszło. Mazepa zaś, zostawszy sam, począł sobie głowę łamać nad zagadkowym swem obecnem położeniem. Wszystko mu było obcem, nawet sprzęty i naczynia.

Cichość panowała na około, żadnego głosu ani ludzkiego, ani zwierząt. Mazepa zaczął powoli zasypiać, gdy nagle w pół sennem marzeniu usłyszał rżenie konia.

Ostry sztylet wbity w piersi nie byłby przyczyną takiego przełknięcia, jak owo rżenie. Zerwał się, usiadł, spojrział na około, — ale w izbie tak samo jak przedtem, a on na łożu, nie na koniu.

Odetchnął... ale w tęg chwili uczuł silny ból w głowie. Chwycił się ręką... była obwiązana i paliła go mocno.

Pomimo tego błogi spokój zawitał do jego duszy, czując się w bezpieczeństwie i pod opieką troskliwych ludzi.

Na drugi dzień znowu przyszła ta sama dziewica, i znowu Mazepa stawiał jęj te same pytania, co wczoraj, ale na nie żadnej nie odebrał odpo-

wiedzi. To go mocno bolało, ale innéj rady nie było jak uzbroić się w cierpliwość.

Dopiero trzeciego dnia zaspokoił swą ciekawość. Dziewczę weszło i przystąpiwszy do chorego, położyło swą drobną rączkę na jego głowie. Już tak nie paliła jak dawniej.

— Teraz mogę ci powiedzieć gdzie jesteś i co się z tobą stało. Znalazłam cię już prawie umarłego, przywiązanego do nieżywego konia. Ojciec mój kazał cię tu przynieść, a mnie ciebie pielęgnować. Ale to już temu dawno.

— Dawno?

— Tak, już kilka tygodni jak wisiałeś pomiędzy życiem a śmiercią. Ale teraz już niebezpieczeństwo minęło, i ojciec powiada, że wkrótce przyjdiesz całkiem do zdrowia.

— Któż jest twój ojciec? zapytał ciekawie Mazepa.

— Ojciec mój nazywa się Samojłowicz a jest hetmanem,\*) odrzekło dziewczę z dumą.

— Hetmanem... powtórzył przerażony radośnie tą nowiną Mazepa, a więc ja na Ukrainie?

— Tak jest, na Ukrainie. A ja jestem córka hetmańska.

— Więc jestem na Ukrainie, u Kozaków! zawołał wzruszony Mazepa, samo przeznaczenie widać tak chciało!...

— Przestań już teraz mówić, zawołało dzie-

---

\*) Samojłowicz był hetmanem Ukrainy, odstąpionéj Moskwie traktatem andruszewskim.

wczę, widząc wzruszenie chorego, bo ci to może zaszkodzić.

To rzekłszy odeszła.

Mazepa teraz puścił myślom wodze. Więc jego upragnione życzenie się spełniło, aczkolwiek w tak niebywały sposób!...

Więc tygodnie całe przeleżał bez przytomności, zawieszony pomiędzy życiem a śmiercią!...

Więc go ślepy traf sprowadził aż do samego hetmana!...

Nazajutrz Mazepa już mógł powstać. Kiedy się ubrał, ledwo się mógł poznać. Znikł żupan i kontusz, znikły safianowe buty, a natomiast znalazł się w kurcie kozackiej i juchtowych butach!...

Lubo strój ten był całkiem od dawnego odmiennym i prostym, jednakże czuł się swobodniejszym, weselszym.

W tem drzwi się otworzyły, i w progu ukazał się mężczyzna wysoki, przenoszący prawie wzrostem silnej budowy Mazepę. W twarzy jego widać było zaraz człowieka przyzwyczajonego do rozkazów, chociaż w niej żadnej dumy zauważyć nie było można.

Był to sam Samojułowicz.

Hetman zbliżywszy się zaczął gościa najprzód wypytywać o przyczyny tak srogięj kary, na jaką go wskazano. Mazepa, lubo nie miał powodu niczego tajić, jednakże dla długości całej historyi, aby dokładnie wyjaśnić rzucone podejrzenie, obiecał później to opowiedzieć.



Hetman się nieco zasepił, nie wiedząc kogo ma przed sobą.

— Młodzieńcze, rzekł, twarz twoja wyraża szlachetność, ale jednak mylić może. Nie chcę cię badać, jeżeli sobie tego nie życzysz, jednakże powiedz mi otwarcie, czyś na taką karę zasłużył?

— Nie, nigdy, przenigdy! krzyknął Mazepa ze zapałem.

— Możesz mi na to dać rękę?

— Oto jest!

— Dobrze, rzekł na to hetman, ściskając prawicę Mazepy, teraz mi powiedz, ktoś jest i zkad.

— Jam jest Mazepa, dotychczasowy paź królewski w Warszawie.

— Ha! to daleko!... No, nie szkodzi. Jeżeli będziesz chciał, wrócisz jak wyzdrowiejesz.

— Już się nigdy nie wrócę, zawołał Mazepa, ślepy traf zrządził to, czego od tak dawna pragnąłem. Za trudno było mi przedrzeć się z Warszawy aż tu dotąd. Nie, teraz już Kozaczyzny nie opuszczę.

Te słowa Mazepy bardzo się hetmanowi podobały.

— Masz słuszość, młodzieńcze, rzekł, tu znajdziesz to, czego nie mógłbyś znaleźć w stolicy, to jest wolności! Wolność zaś jest najwyższem, jedynem szczęściem każdego człowieka na ziemi.

W kilka dni potem hetman już znał cały bieg życia Mazepy. Oburzył się na niesprawiedliwość Dagomira i wyraził się, że gdyby to było jego możnością, natychmiast wyruszyłby na ukara-

nie zbrodniarza. Jednakże wtargnąć na Podole aż pod Bukowinę, byłoby niepodobieństwem.

Mazepa sam to uznał, ale nie zrzekł się pomsty, odłożył ją tylko na później.

Odtąd Mazepa zaczął wieść życie kozackie. Wnet z niego stał się najbieglejszy myśliwy, do czego posłużyły mu nauki starego Andrzeja, a do wypraw na Krym lub do samego Carogrodu on był pierwszym. Miecz jego to błyskawica, przed którą żaden łeb tatarski nie był pewnym, a do wprawy i wrodzonego męstwa łączył przezorność doświadczonego wodza.

Minęło tak lat kilka. W Polsce o Mazepie zapomniano, a Mazepa zapomniał o Polsce. W Siczy zaś był sekretarzem, powiernikiem i adjutantem hetmana, który go bardzo polubił.

Nic to jednakże nie zmieniło trybu jego życia, tylko że Mazepa wywierał teraz większy wpływ na Kozaczyznę, albowiem miał większą władzę. Kozacy przepadali za nim. Nigdy on też bez zwycięczy nie wrócił. Najtrudniejsze wyprawy podejmował śmiało i zawsze je ku ogólnej załatwiał korzyści.

Przebiegły i obrotny tak zręcznie umiał się Mazepa uwijać, że otrzymał r. 1687, po nieszczęśliwej wyprawie Samojłowicza na Krym, buławę hetmańską. Przysłużnością i udaną pokorą pozyskał przyjaźń wielu magnatów moskiewskich, zbliżonych do tronu, a wierną i gorliwą służbą zjednał sobie względy u samego monarchy, Piotra Wielkiego, cara rosyjskiego.

Wnet sława jego nietylko rozeszła się po Ukrainie, ale i po innych krajach. Turcy i Tatarzy obawiali się go jak ognia. Car rosyjski, Piotr Wielki, wplątany we wojnę turecką, tylko przezornemu a bitnemu Mazepie zawdzięczał pobicie nieprzyjaciela.

Ubiegały lata. Mazepa coraz się starzał, ale ze starością wdzierając się w jego serce duma. Główną jego myślą było dojść godności udzielnego księcia Ukrainy.

Rosya prowadziła wtedy wojnę z Karolem XII, królem szwedzkim. Mazepa, niepomny na względy Piotra W., który go hojnie łaskami swemi obsypywał, chcąc koniecznie zostać udzielnym księciem, korzystał z położenia rzeczy i postanowił potajemnie połączyć się z Karolem XII, zaciętym przeciwnikiem Piotra W.

## VIII.

Noc była ciemna i pluskotliwa. Szwedzkie posterunki chodziły w koło obozu, kłapiąc w rozmozczonej ziemi, przeklinając w duszy swe rozpaczliwe położenie.

Nagle jeden z posterunków ujrzał zbliżającego się człowieka.

— Stój! kto idzie? wrzasnął posterunek.

— Nie rób zbytecznego hałasu, odezwał się przybyły, przychodzę jako przyjaciel. Prowadź mnie natychmiast do króla.

Żołnierz się zdumiał. Do króla ma prowadzić? na taki przypadek nie miał żadnej instrukcji. Wziął się atoli na sposób i wypalił z pistoletu; nadbiegła pikieta.

Tu znowu wszczęły się wypytywania, na które przybyły odpowiedział tak samo, jak pierwszym razem, że chce, że musi mówić z królem.

Odprowadzono go do ogniska. Nieznajomy miał przy boku pałasz, za pasem dwa pistolety i kindżał, a był w ubiorze kozackim.

— Któż takiemu bestyi Kozakowi uwierzy? zauważył kapral.

— To mnie rozbróćcie, ale potem zawieźcie przed króla, jeżeli nie chcecie popaść w jego niełaskę.

Słowa te pomogły. Odebrano mu wszelką broń, przeszukano starannie, czy nie ma gdzie ukrytego morderczego narzędzia, a potem zaprowadzono przed namiot królewski. Tu zostawiono go pod ścisłą strażą, a dyżurny oficer wszedł z meldunkiem do namiotu króla.

Król spał, więc oficer nie śmiał go przebudzić. W krótkim czasie obudził się jednakże, a wtedy oficer przystąpił z oznajmieniem co zaszło, i że jakiś Kozak czeka przed namiotem.

Król się chwilę zamyślił.

— Pozapalaj światła, rzekł po chwili.

Podeczas kiedy oficer światła zapalał, król się ubrał.

— Wprowadzić go!

Gdy oficer wyszedł, król sięgnął po pistolety,

opatrzył je i położył przed sobą na stoliku. Wtem też Kozaka wprowadzono.

— Kto jesteś? zapytał król gromko.

— Każ odejść straży, królu, odrzekł na to Kozak spokojnie, a wtedy się dowiesz, kto jestem i po co przybywam.

Król skinął; straż odeszła.

Kozak przystąpił kilka kroków bliżej. Na to król porwał pistolet, zwrócił go do piersi nieznanego mężczyzny i krzyknął:

— Stój, bo wypalę.

Kozak bynajmniej się nie uląkł.

— Odłóż broń, królu, odrzekł, nie masz nieprzyjaciela przed sobą... Jam jest Mazepa, hetman Ukrainy!...

Król złożył broń, a w oczach jego zabłyśł ogień radości. Jednakże spojrzął z niedowierzaniem. Poznał to Mazepa.

— Przybywam wskutek twego ostatniego listu, odezwał się Mazepa, w którym mi donosisz, że chciałbyś ze mną sprawę ustnie załatwić. Zamiast ci królu wyznaczyć miejsce zjazdu przybywam sam, bo tak zdaje mi się będzie dla nas obu korzystniej.

Karól na te słowa skoczył ku Mazepie i objął go za szyję.

— Witaj mi sławny mężu, zawołał, przybywasz w sam czas, kiedy pomoc twoja jest mi wielce pożądaną.

— Nim ci dam tę pomoc, rzekł na to Mazepa, wymagam poprzednio zaręczenia, że i ty królu

będziesz mi pomocnym. Wierz, że moją dążnością jest zostać udzielnym księciem Ukrainy. Jeżeli mi dasz zaręczenie, że mnie jako takiego ogłosisz, wtedy stawię moich Kozaków pod twoje rozkazy.

Karól wznosił dumnie głowę.

— Wymagasz, hetmanie, bardzo wiele odemnie, rzekł, gdyż i bez pomocy twojej zdołam Moskwę poskromić, jak poskromiłem już tyle narodów.

Mazepa się uśmiechnął.

— Mości królu, zawołał, czyż nie wiesz, w jakim się znajdujesz położeniu? Czyż sądzisz, że zimą dotrzesz do Moskwy? Jeżeli obstajesz przy przeprowadzeniu twego planu, to pracujesz na korzyść samego cara, gdyż wtedy przywołujesz mu na pomoc mróz i głód, dwóch nieprzyjaciół, którzy armię twoją zniszczą do szczętu, zanim jeszcze wieże Kremla ujrzysz na twoje oczy. Wszędzie po drodze znajdziesz wsie i zabudowania spalone, zniszczone. Jakżeż tedy możesz odważyć się walczyć z takim nieprzyjacielem?

Karól się zasepił.

— To, co mi powiadasz, rzekł, nie jest wprawdzie dla mnie nowiną. Potwierdza chyba tylko to, o czym i ja nieraz myślałem. Jednakże planu mego zmienić nie mogę, bo te same okoliczności zachodzić mogą zawsze.

— O nie, odpowiedział na to Mazepa, bynajmniej. Jeżeli zostaniesz mym sprzymierzeńcem i działać zechcesz na urzeczywistnienie mych zamiarów, natenczas żadne ci grozić nie będzie niebezpieczeń-

stwo i armia twoja stanie się znowu straszną dla nieprzyjaciół.

— Gdybym więc przystał na twoje żądanie, hetmanie, odezwał się król, w jaki sposób przyszedłbyś mi z pomocą?

— Najprzód przezimowałbyś na Ukrainie, gdzie postarałbym się o żywność i kwatery dla twego wojska, a oprócz tego stawię 20,000 wojska kozackiego pod twe rozkazy.

Karól począł myśleć, niby się namyślając, co mu czynić wypada. To rzekome namyślanie się króla uraziło Mazepę nie mało.

— Jakto? zapytał, jeszcze się królu namyślasz?

— Dopomóżdź komu do tronu książęcego, rzekł Karól, to wielka rzecz!

— Uratować królowi całą armię i skutkiem tego koronę królewską, to pewnie większa rzecz! odparł ironicznie Mazepa.

Karól zmarszczył brwi.

— Hetmanie, syknął przez zęby, nie zapominaj, że mówisz z królem szwedzkim!

— A ty królu nie zapominaj, że mówisz z hetmanem Kozaków, odrzekł mu tak samo Mazepa.

Chwilę nastąpiło milczenie, podczas którego obaj mężowie zmierzyli się oczyma.

Naraz król głośno się rozśmiał.

— Witam cie Mazepo, książę Ukrainy! zawołał król, kładąc przycisk na ostatnie słowa i podając rękę Mazepie.

— Witam cię pogromco Moskwy! dodał Mazepa, odpowiadając ściśnieniem dłoni.

— Sam uważam, mówił dalej Karól, że byłoby nieroztropnością z méj strony odrzucać takiego sojusznika i dla jednéj drobnéj Ukrainy\*) narażać się na wiele trudów i przykrości. Zatem ogłoszenie wyniesienia cię na tron książęcy, oraz ogłoszenie twéj niezawisłości niebawem ma nastąpić.

— Tak to szybko nie idzie, odezwał się Mazepa, i dodał zarazem z pewnym rodzajem szyderstwa, trzeba wprzód cara pobić, a potem mu można podyktować warunki pokoju.

— Sądziśz mości książę, że to niewykonalnem?

— Bynajmniej, gdyż wtedy związek z tobą nie miałby dla mnie żadnego celu.

— Słusznie, więc przystaję na wszelkie twe warunki.

— I ja przystaję, ale dasz mi jeszcze dzisiaj twoje przyrzeczenie na piśmie.

— I to słuszne.

Po tych słowach król zawołał ordynansa i kazał mu przywołać sekretarza, który ugodę spisał, a dokument podpisali Karól XII i Mazepa.

---

\*) Karól XII szczęściem, które jego orężowi sprzyjało, tak był zaślepiony, że sądził, iż może królestwa dowolnie rozdawać. O złożeniu z tronu cara rosyjskiego ani nie wątpił i wreszcie możeby mu się to było udało, gdyby nie był zboczył na Ukrainę, celem złączenia się z Mazepą.



Po ukończeniu tego ważnego aktu zajęli się omówieniem dalszego planu w operacyi przeciw Moskwie.

Kiedy się rozmowa skończyła, już był dzień biały. Karól odesłał Mazepę pod konwojem aż do najwięcej naprzód wysuniętego posterunku. Tam w ukryciu czekał na niego jeden ze Szwedów z wierzchowcem.

Dosiadł rumaka i cwałem popędził ku Półtawie.

Mazepa był zamyślony. Krok, na jaki się odważył, mógł go być wynieść na udzielnego księcia, ale też w razie nieudania się, lub zaprędkiego odkrycia spisku jego z Karólem przeciw carowi, mógł go nietylko pozbawić buławy hetmańskiej, ale i przyprawić o życie. Szczęściem, że to odbyło się wszystko w najgłębszej tajemnicy.

Mazepa tak sądził, lecz rzecz się miała inaczej. Sądził, że nikt go w nocy nie spostrzegł, albowiem nie chcąc być spostrzeżonym przez warty rosyjskie, zrobił daleki okrąg. Tymczasem właśnie przejeżdżał tędy generał rosyjski Kociubej, który poznawszy hetmana, zatrzymał się, sądząc, że wyjechał na zwiady.

Jakże się zadziwił, kiedy hetman wprost wjechał na Szwedów i od nich wprowadzonym został do obozu. Najprzód sądził, że hetmana ujęto, lecz wnet tę myśl porzucił, bo hetman nie byłby się dał pojmać jednemu tylko Szwedowi.

Bądź co bądź postanowił zaczekać powrotu hetmana, lub też jakiegokolwiek zasięgnąć języka,

aby się dowiedzieć co się z nim stało. Całą noc tedy czekał w ukryciu, wreszcie ujrzał hetmana powracającego, odbierającego konia z rąk Szweda i cwałem wracającego ku Półtawie.

Jenerał po jakimś czasie wyjechał z ukrycia i pozdrowił grzecznie hetmana.

— Tak rychło na koniu? rzekł jenerał, zapewne z rekonesansem!

Hetman nieco się zakłopotał, lecz wnet przybrawszy minę obojętną, potwierdził pytanie jenerała.

— Znalazłeś panie hetmanie wszystko w porządku?

— O ile zdala widzieć mogłem, tak.

— O mało co nie wjechaliśmy na siebie, dodał jenerał, bo i ja całą noc obserwowałem obóz szwedzki.

Hetman drgnął, ale na to nic nie odpowiedział, skinął jenerałowi na znak pożegnania i pognął dalej w drogę.

Ale i jenerał popędził za nim do Półtawy. Tu natychmiast udał się do pułkownika stojącego tam załogą.

— Co robi hetman? zapytał.

— A któż to może wiedzieć? odrzekł pułkownik, hetman nikogo do swych tajemnic nie przypuszcza.

— Wprawdzie nie wolno podwładnym roztrząsać tajemnic swych przełożonych, rzekł na to jenerał, lecz te względy ustają, gdy chodzi o dobro cara.

Pułkownik spojrział na jenerała pytająco.



Mazepa (podług obrazu francuzkiego malarza Vernet) do str. 79.



— Z twych słów, panie jenerale, rzekł, domyślam się, że masz klucz do jakichś tajemnic. Jeżeli uważasz za słuszne, to mi się zwierz, nie jestem bowiem zdrajcą, a dobro cara przenoszę nad me życie.

— Byłem dziś w nocy sam świadkiem, jak hetman wjechał do szwedzkiego obozu, bawił noc całą i dopiero rano obóz opuścił.

— Acha! zawołał pułkownik, to stoi zapewne w związku z tajemnymi posyłkami, które wychodzą i przychodzą.

— Cóż o tem sądzić?

— Ha! odrzekł pułkownik, kto się wdaje z nieprzyjacielem, nie może być czem innym jak zdrajcą!...

— Moje zdanie jest takie same, potwierdził jenerał, tu jest oczywista zdrada! Lecz jakże jój dojść?

Pułkownik skrzyżował ręce; kilka razy przeszedł się po pokoju.

— Z naszej strony będzie to za trudno, a jak się przekonamy o zdradzie, to już będzie za późno. Mojem zdaniem jedźmy natychmiast do Moskwy i przedstawmy rzecz całą carowi, on już znajdzie środki zapobieżenia złemu.

Po niejakiem czasie namysłu, w którym rozbiali wszelkie wyniknąć mogące następstwa ich kroku, przyszli wreszcie do tego przekonania, że tylko szybkie doniesienie carowi może odwrócić możliwe nieszczęście.

Dosiedli koni i nie opowiedziawszy się het-

manowi, puścili się do Moskwy, gdzie natychmiast w Kremlu prosili o posłuchanie u monarchy.

Car się straszliwie rozgniewał, a kiedy weszli, zakrzyknął gromko:

— Jakim prawem ośmieliliście się opuścić wasze stanowisko? Czyż to teraz czas po temu, aby przyjeżdżać na zabawy do stolicy?

— Najjaśniejszy panie! rzekł na to pułkownik, nasze przybycie nie ma na celu zabawy dla nas, lecz dobro najdobrotliwszego naszego cara.

— Czyż w armii zaszło co nadzwyczajnego? zapytał car.

— Nic, czegobyś wszechwładny carze nie wiedział, odrzekł generał, lecz pomiędzy tymi, którym zawierzasz i których dobrotliwie obsypujesz łaskami, znajduje się mąż niegodny.

— Jenerale! zawołał car groźnie, czyż sądzisz, że ja mam czas na to, abym twe zagadki rozwiązywał? Gadaj, co cię tu sprowadza!?

— Wszechwładny carze, rzekł generał, Mazepa jest zdrajcą i stoi w porozumieniu ze Szwedami!

Piotr Wielki zmierzył generała zabijającym wzrokiem.

— Powściągnij twój język, wrzasnął, i nie bluźnij przeciw Mazepie!... Jakież masz dowody?

— Najjaśniejszy panie, zawołał generał oszustom i zdrajcom nie można częstokroć udowodnić ich przestępstw, chyba dopiero po czynie, ale to wtedy już zapóźno. Mazepa stoi od dawna ze Szwedami w porozumieniu listownie, a w ostatnim cza-

sie osobiście się widział z królem szwedzkim w jego własnym obozie. Widziałem go na własne oczy, jak się udawał do obozu i jak ztamtąd powracał.

— Widziałeś, że on rozmawiał z królem?

— Nie, ale wiem, że całą noc bawił w tym oddziale obozu, gdzie stoi namiot królewski... Jakież więc inne mógł mieć zamiary jak tylko zdradę?..

Ledwo tych słów domówił, zerwał się car ze siedzenia, chwycił za pałasz i rzucił się na generała, którego życie wisiało na włosku.

Ale wnet się opamiętał i odrzucił zabójcze narzędzie od siebie.

— Nie, rzekł, mój pałasz nie splami się twoją posoką, generale. Zasłużyliście obaj na śmierć, bo waszem szpiegostwem skrzyżowaliście mi plany. Któż was upoważnił do szpiegostwa? Co Mazepa czyni, czyni z moją wiedzą i w moim interesie, a wam jego rozkazów słuchać, a nie szpiegować go!..

Oskarżyciele pobledli. Widzieli, że krok ich był przedwczesnym i zamiast łaski carskiej doznali teraz poniżenia.

Car tymczasem siadłszy do stolika wziął papier i pióro, i szybko nakreślił kilka słów, potem list zwinął, zapieczętował herbem państwowym, a zapieczętowawszy podał generałowi.

— Wręczcie ten list Mazepie!.. Natychmiast wyjeżdżajcie ze stolicy!..

Przerażeni, zawstyżeni, opuścili oskarżyciele pałac carski i dosiadłszy koni, puścili się z powrotem.

— Pułkownik, rzekł po długim milczeniu generał, spotkało nas nieszczęście, ale mnie się zdaje,

że spotka nas jeszcze gorsze, jeżeli ten list oddamy. Zapewne w nim nic dobrego nie stoi, a my idziemy wprost do jaskini tygrysa.

— I mnie się tak zdaje, odrzekł pułkownik.

— Nie byłoby dla nas korzystniej, abyśmy wcześniej o zabezpieczeniu własnej skóry pomyśleli?... Król szwedzki przyjmie nas z otwartymi ramionami.

— Bezwątpienia jenerale, ale wtedy my, którzy Mazepę oskarżyliśmy o zdradę, sami zostalibyśmy zdrajcami. Chcesz, idź do Szweda, lecz oddaj mi list, który wręczę według adresu.

Jenerał zamilkł, i obaj prawie całą drogę milcząc dojechali do Półtawy i weszli do mieszkania hetmana.

Mazepa znajdował się właśnie w swym gabinecie, zajęty piśmiennymi pracami.

Wtem wszedł Kozak i oznajmił, że jenerał z pułkownikiem życzą sobie posłuchania.

Mazepa na tę wiadomość zadrzał, wiedział bowiem o tajemnym wyjeździe obu oficerów, a zważywszy wszystko, co zaszło, domyślał się celu ich podróży. Uskromniwszy szybko papiery, wyszedł do salonu i kazał oficerów wprowadzić.

W przedpokoju szepnął jenerał pułkownikowi:

— Jeszcze czas, jeszcze możemy umknąć.

— Zapóźno! odszepnął pułkownik.

I weszli.

Mazepa dumnym wzrokiem powiódł po swych gościach, lecz sam czuł się jak na igłach. Badał z ich twarzy, co mu przynoszą za nowinę.

Oficerowie również zajęci byli w duszy treścią



listu, przeto ich branie się było niepewnem, zambarasowaniem.

Jenerał wreszcie wystąpił kilka kroków naprzód.

— Hetmanie! rzekł, wracamy właśnie ze stolicy i mamy rozkaz od samego cara wręczyć ci niniejsze pismo.

Mazepa, mimo skupienia swych sił żywotnych, zbladł, sądził bowiem, że już wszystko odkryte. Z uszanowaniem odebrał pismo, lecz ręka jego drżała.

— Proszę siadać, rzekł Mazepa zmienionym głosem, tymczasem przeczytam pismo w mym gabinecie i wrócę z odpowiedzią.

To rzekłszy wyszedł.

— Widziałeś jenerale, jak zbladł? szepnął pułkownik.

— I jak mu to ręka drżała, kiedy odbierał pismo!... dodał jenerał.

— Zdrajca!

— Zdrajca.

Tymczasem Mazepa wszedłszy do gabinetu, rzucił list na stół, zawołał Kozaka i kazał wyjścia pałacowe obstawić wojskiem. Następnie zatknął parę pistoletów nabitych za pas, aby być na wszelki przypadek gotowym do obrony. Gdyby ten list zawierał coś niebezpiecznego, umyślił oficerów aresztować, a sam z wiernymi sobie kozakami udać się do Szwedów.

Teraz wziął list, otworzył i zaczął czytać.

Skończywszy go, uśmiechnął się złośliwie. List bowiem brzmiał:

Mazepo! Oddawcy tego listu oskarżają cię o zdradę. Jesteśmy przekonani, że to oszczerstwo, i że oskarżyciele pragną twego upadku dla wywyższenia samych siebie. Oddajemy ich w twe ręce, ukarż ich według twój woli.

Piotr.

Z tryumfującym wzrokiem wrócił Mazepa do salonu.

— A więc byliście u samego cara, rzekł szyderczo, i tam mnie oskarżyliście o zdradę!

— Uczyniliśmy, odrzekł generał, cośmy jako wierni poddani uczynić byli obowiązani.

— O! o! wołał ironicznie Mazepa, — uczyniliście nawet więcej aniżeli mogliście, boście wymyślili nawet bajeczki.

— Nie tak, panie hetmanie, odparł generał, na własne oczy widziałem cię, jakieś nocną porą udawał się do obozu szwedzkiego.

— A pan co widziałeś? zapytał Mazepa pułkownika.

— Ja nic nie widziałem, odrzekł zapytany, ale wiem, że stoisz piśmiennie w porozumieniu z królem szwedzkim. To mógłbym poprzeć dowodami.

— Hm! hm! to bardzo pięknie, wyrzekł Mazepa, schowaj tymczasem dowody na później... Wiecie panowie, co w tym liście stoi?

— Nie, car nam tego nie powiedział.

— Jednakże przyda wam się bardzo, zawołał Mazepa, gdy wam treść jego opowiem. Oto car miłościwy oddaje was w moje ręce jako oszczerców i upoważnia mnie do ukarania was, jak na to zasłużyliście.

Oficerowie spuścili oczy.

— Jeżeliś hetmanie sam wierny carowi, odezwał się pułkownik, to pojdziesz, żeśmy inaczej uczynić nie mogli.

— Owszem, pojmuję wierność, odrzekł Mazepa, ale i mnie winniście byli posłuszeństwo i wierność.

To rzekłszy kłasnął w ręce, a w momencie zbrojni Kozacy napełnili salę.

— Panie jenerale i panie pułkowniku, rzekł teraz Mazepa z dumą, w imieniu cara arestuje was! Oddajcie wasze szpady!

Oficerowie ścisnęli mocniej rękojeść szabli, zgrzytnęli zębami i już mieli ochotę wiaść się do własnej obrony, lecz nim zdołali o niej pomyśleć, już ich Kozacy rozbroili.

Odprowadzono ich do więzienia, a nazajutrz rychło zostali oskarżyciele rozstrzelani.

## IX.

Nadszedł pamiętny w dziejach Europy dzień 8 lipca 1709 roku, w którym Karól XII ufny w pomoc Mazepy stoczył pod Póltawą walną i zaciętą bitwę. Wiadomy jest wypadek boju pod Póltawą. Szwedzi walezyli bohatersko — lecz mimo całej ich

dzielności, mimo niezłomnej odwagi swego króla, ulegli natarczywości przeciwników, walczących za najświętsze interesa. Hufce szwedzkie zostały rozbite. Po dwugodzinną walce 10,000 Szwedów poległo, reszta pierzchnęła w nieładzie. Straszna to zaprawdę (mówi kronikarz) i mało widziana była batalia, gdy przez dni sześć pasując się\*) złamać się nie mogli, aż dopiero szóstego dnia przyszedł dies feralis na Szwedów.

Plany Mazepy pociągnięcia za sobą całej Kozaczyzny zupełnie się nie udały, i zaledwie kilka pułków zdołał na stronę Karola XII przeciągnąć.

Tak awanturniczy szwedzki monarcha w jednym dniu stracił wszelkie dotąd odniesione korzyści.

Karol XII mimo rany dosiadłszy konia, umknął z Mazepą i z małym orszakiem ku Dnieprowi do Przewołoczny. Zbiegowie przebyli pustynię, zwaną wówczas dzikim polem, dzisiajszą gubernię chersońską. Przeszli nareszcie Bog, stanowiący wtedy granicę państwa tureckiego, i znaleźli przytułek w tym właśnie Oczakowie, pod którym niegdyś Mazepa szerzył spustoszenie. Ztamtąd hetman z królem szwedzkim przeniósł się do Benderu nad Dniestrem, gdzie sułtan Achmed stałe im wyznaczył mieszkanie.

Z jakim sercem już sześćdziesiąt i kilka lat liczący Mazepa uciekał z królem szwedzkim, trudno opisać. Wszelkie jego marzenia spełzły na niczem. Utracił honory, utracił majątek, z hetmana Ukrainy został tułaczem!

---

\*) Miał tu zapewne na myśli pomniejszych utarczki bitwę poprzedzające.

On, pogromca Turków, musiał teraz u swych dawniejszych nieprzyjaciół szukać jako zbieg przytułku.

To przeświadczenie przygnębiło starca tak silnie, że życzył sobie nawet śmierci.

Kiedy raz w przeznaczonem sobie mieszkaniu chodził smutny ze skrzyżowanemi rękoma i rozmyślał nad swem położeniem, a na dworze pluszczało, i wiatr z szelestem tłukł o szyby krople deszczowe, nagle dał się słyszeć szelest, drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna w ubiorze tureckim.

Mazepa przystanął.

— Ktoś ty jest i czego chcesz? zapytał po turecku.

— Ojczy hetmanie, odezwał się Turczyn po rusku; ja jestem Wasyl, Ukrainiec, i dopiero od lat kilku znajduję się w Turcyi...

— Ale czegoż chcesz? przerwał mu niecierpliwy hetman.

— Ojczy hetmanie! rzekł teraz pewniejszym głosem Wasyl, zapewnie mnie wysłuchasz, gdy ci powiem, że od saméj młodości byłem w służbie u Dagomira, twego stryja, i że znam twą matkę.

Mazepa na to wspomnienie ledwie zdołał się pohamować i głośno zawołał:

Dagomir... matka!...

Przeciagnał ręką po czole a po chwili milczenia:

— Cóż mi masz ważnego do powiedzenia? mój kochany Wasylu, zapytał uprzejmie.

— Opowiem od samego początku, rzekł Wa-

syl, lepiej to się słyszeć będzie... Owóż po udanym pogrzebie twojej matki, ojciec...

— Więc jednak jej nie pochowano? przerwał wzruszony Mazepa.

— Nie, ciągnął dalej Wasyl, bo Gambino tylko ją na czas niejaki odurzył, potem jako nieżywą włożono do trumny, potem ją wzięto, a trumnę pustą wstawiono do grobowca.

— I gdzie matkę podziano? wrzasnął nie mogąc niecierpliwości pohamować Mazepa.

— Wywieziono ją do włości Dagomira razem z tobą, ojciec hetmanie. Tyś wtenczas uciekł, wysłano za tobą pogoń... i ja za tobą goniłem, lecz cię nie mogliśmy odszukać. Matkę wziął ze sobą Dagomir i trzymał ją w zamknięciu u siebie, tak, że oprócz niego samego, mnie, dozorczyńni, i może żony Dagomira, nikt o tem w całym dworze nie wiedział.

— Czy żyje jeszcze matka?

— Tego ja nie wiem, gdyż już od kilku lat jestem w służbie tureckiej.

Mazepa zasłonił ręką oczy. Lotem błyskawicy przebiegła mu cała przeszłość przed oczyma. Przypomniawszy sobie zajście na dworze Dagomira i słowa jego żony: matka twoja żyje! lecz tych słów naówczas w zamieszaniu uczuć nie zrozumiał. Teraz pojmował, czemu Dagomirowa życzyła sobie z nim mówić.

— Nieszczęsny człowieku! zawołał boleśnie Mazepa, czemuś ty mi prędzej tego nie powiedział?

— Ojciec hetmanie, odrzekł Wasyl, Bóg wi-

dzi, że nie szło. Kiedyś nam jako chłopiec umknął z woza, nikt nie wątpił, że znalazłeś śmierć w dzikich lasach. Słyszeliśmy wprawdzie o jakimś paziu w Warszawie, ale komu mogło przyjść na myśl, że to ten sam Mazepa. Gdy później Dagomir kazał cię przywiązać do konia, zaczęto pomiędzy sobą na dworze szeptać, że ów gość, to był dawniejszy Mazepa. Jam cię wtenczas nie widział, zatem nie pewnego pomyśleć nie mogłem. Od pani też się już niczego dowiedzieć nie mogłem, bo w kilka dni potem umarła. Wiele lat później doszła nas wieść o sławnym hetmanie Ukrainy, Mazepie. Ale czy to ten sam?... Po długim wszakże namyśle opuściłem tajemnie Dagomira i udałem się w drogę do ciebie. Niestety! schwytyany od Turków, przeżyłem lata w niewoli, aż mnie wreszcie na wyższy, ale zawsze niewolniczy stopień posunięto. Gdy wieść się rozeszła, że hetman Mazepa znajduje się w Benderze, tyle się starałem, żeby cię ujrzeć. Ujrzałem i rozpoznałem rysy, wiem, żeś ty ten sam Mazepa, przeto poszukałem sposobności, aby ci to, com wiedział, opowiedzieć.

Skończył, a Mazepa nie mu na to nie odpowiedział, tylko w gorączkowym usposobieniu biegał po komnacie.

Nagle przystanął przed Wasylem.

— Słuchaj! zakrzyknął z zaiskrzonymi oczyma, zdołałbyś ty mnie z kilku towarzyszami wyprowadzić z Benderu i zaprowadzić aż do Dagomira?

— Tak jest, ojcze hetmanie! odrzekł z uczuciem radości Wasyl.

— I kiedyż?

— Choćby dzisiaj, ojcze hetmanie!... Jam był przekonany, że gdy ty moje opowiadanie usłyszysz, starać się będziesz uwolnić matkę, jeżeli jeszcze żyje, a przynajmniej przekonać się, czy żyje, i...

— Pomścić się na Dagomirze! dorzucił hetman.

— Takie były moje myśli, ojcze.

— Dobrze, więc jeszcze dziś ruszamy.

Po tych słowach zagwizdnął Mazepa na srebrnej piszczałeczce, a w momencie stanął przed nim Kozak.

Przybyły spojrzął z ukosa na Turczyzna, dziwiąc się, że ten wszedł do hetmana bez wiedzy służby. Może, że i hetman to zauważył, ale na teraz miał co innego w głowie, aniżeli nagane.

— Iwan! zawołał, wielu jest tu naszych mołojców?

— Ze mną dziesięciu, odpowiedział smutnie zapytany.

Hetman uśmiechnął się gorzko.

— Nie ma co mówić, rzekł sam do siebie, będę hetmanił armii, składającej się z dziesięciu ludzi!...

A potem zawołał głośno:

— Iwanie, chciałbyś jeszcze pohulać na stepie?

Iwanowi zaśmiały się w odpowiedzi oczy. Zrozumiał tę niemą odpowiedź Mazepa, więc rzekł szybko:

— Dziś jeszcze pohulamy! Broń wyczyścić! konie przysposobić i być w pogotowiu! O samą północy wyruszamy!



Iwan jakoby się nowonarodził, wyskoczył z komnaty, zgromadził Kozaków i daleko jeszcze przed północą wszystko było gotowe. A wszystko zrobiono tak tajemnie, że straże tureckie najmniejszego nie powzięły podejrzenia.

Tymczasem Mazepa omawiał plan z Wasylem.

— Jaką drogą mnie zaprowadzisz? zapytał hetman.

— Nic to łatwiejszego, odrzekł Wasyl, jeżeli pojedziemy w górę Dniestru, to chcąc nie chcąc musimy trafić na dwór Dagomira.

— To dobrze, powiedział na to hetman, lecz będzie zachodziła trudność przy wychodzeniu z miasta. Nie podobna, aby nas straże tureckie miały tak bez wszystkiego zbrojno wypuścić.

— Będzie to moja rzeczą, ojcze hetmanie, odrzekł Wasyl, i już za dnia o tem pomyślałem i wypatrzyłem, któredy najbezpieczniej. Całą siłą wyruszać niebezpiecznie, dla tego rozmaitemi drogami wyprowadzę Kozaków za miasto a wreszcie i ciebie.

Mazepa się zamyślił.

I miał też powód. Czy istotnie wszystko prawdą, co mu Wasyl mówi? Nie było to czasem zasadzką na jego życie?

— Niech będzie, jak chce, pomyślał sobie, czekałaby mnie tylko śmierć, a téj przecież się nie lękam. Żywcem zaś mnie nie dostaną.

Pomimo tego postanowił na Wasyla mieć czujne oko i za najmniejszą oznaką zdrady położyć go

trupem. Wasylowi jednak ani słowem, ani miną nie dał poznać, jakie myśli go zajmowały.

Wasył się oddalił, a Mazepa przygotował również własną broń i przysposobił się na wszelki przypadek. Potem puścił myślom wodze.

Około północy przyszedł Wasył.

— I jakże? zapytał krótko hetman.

— Kozacy już za bramą.

— Wszyscy?

— Nie, Iwan was ojczyznie hetmanie nie chciał opuścić.

— Dobry chłopiec! szepnął hetman, chodźmy!

Hetman sam światło zagasił, a potem poszedł za Wasylem. Rumak hetmański zarżał, poczuwszy pana, a hetman, poklepawszy go po karku, dosiadł i pognął pustą ulicą za miasto. Tam złączywszy się z orszakiem, puścił się pod przewodnictwem Wasyla w dalszą drogę.

— Iwanie, szepnął hetman do towarzysza, miej naszego przewodnika pilnie na oku. Rozumiesz?

— Rozumiem... gdyby miał zdradzić...

— Palnij mu w łeb, była odpowiedź hetmana. Lecz Wasył zdrajcą nie był.

Zaświtał dzień, a jeźdźcy pędzili nad Dniestrem po stronie tureckiej dalej a dalej. Nad wieczorem wypoczęli i znowu dalej. Diczyszyna dostarczyła jeźdźcom pożywienia, a konie miały pod dostatkiem wyborniej paszy. Nikt ich nie zaczepiał.

Tak na przemian po tej lub owej stronie Dniestru pędząc coraz dalej, ujrzeli się trzeciego dnia w górzystym lesie, gdzie Wasył kazał przystanąć.

Mazepa przetarł ręką czoło, snadź sobie coś przypominał, i okolica zdawała mu się być znajomą. Tak, była mu też znajomą, bo tu właśnie w tem miejscu padł koń, który go uniósł przed pogonią tatarską.

Zaczekano aż do ciemnej nocy.

Kiedy się północ zbliżyła, podjechano zupełnie blisko, a potem uwiązawszy konie i zostawwszy straż przy nich, udał się Mazepa z Iwanem i kilku innymi pieszo do bramy.

Kiedy zapukano, głos jakiś po niejakim czasie odezwał się. Wasyl nazwał kogoś znajomego z pobliza i brama otworzyła się. Nim ten, co bramę otworzył, zdołał się opamiętać, już leżał zakneblowany.

Kozacy weszli na dziedziniec, a Wasyl zaprowadził ich znanym sobie wchodem do wnętrza dworu.

Wewnątrz huczało i dudniało — na dworze ryczała burza. — Niebo było już dawno powleczone grubemi chmurami, a teraz grzmot, błyskawice i piorun po piorunie rozdierały niebo.

Kozacy idą gankiem śmiało, gdyż łoskot na dworze zagłusza odgłos ich kroków.

Wasyl przystanął przy jednych drzwiach.

— Tu, rzekł, jest wchód do samego Dago-mira, ale dawniej jeden ze sług zwykle spoczywał przez noc w przedpokoju.

Hetman bez namysłu kopnął nogą drzwi, które rozwarły się jak szeroko. W samej rzeczy znajdował się tam sługa. Przelekły nagłym łoskotem, zamiast krzyknąć, tem mocniej nakrył głowę, są-

dząc, że piorun trzasł w budynek. Nim się przekonał o swym błędzie już miał usta zakneblowane.

Hetman ruszył naprzód.

Sypialnia Dagomira było tylko zasłoną przedzieloną od przedpokoju. Dagomir musiał posłyszeć szelest kroków, bo się zerwał.

— Któż tam jest? zakrzyknął

— Mściciel! odezwał się Mazepa.

— Ktoś ty? wrzasnął Dagomir, zrywając się z łoża, cóż znaczą twe słowa?

— Nie poznajesz mnie, stryju? trucicielu? Jam jest Mazepa, syn Zuzanny. Tyś Zuzannę otruł, a mnie przywiązałeś do dzikiego konia. Żebyś wiedział jak to przyjemnie przejechać się, będąc przywiązanym do konia, stanie ci się, jak to niegdyś uczyniłeś Mazepie. Chłopcy, pochwyćcie go!

Ale Dagomir, który w tej chwili wszystko zrozumiał i pojął swe przeznaczenie, siłą prawie nadnaturalną odepchnął od siebie Iwana, skoczył do okna, rozwarł je i wyskoczył.

Chwilę panowała głucha cisza, a potem słychać było łomot spadającego ciała.

W tej chwili strasznie zabłysło, piorun uderzył — i znowu cisza.

Przytomni stali czas niejaki przerażeni.

— On sam się osądził, odezwał się ponuro hetman, a może i lepiej tak, przynajmniej ręce moje nie będą splamione krwią brata ojca mego... Wasylu, rzekł zwracając się do zagadnionego, prowadź mnie teraz do miejsca, gdzie więziono moją matkę.

Wasyl szedł naprzód, a reszta zwolna postę-

powąła. Szli najprzód gankiem, potem krętymi schodami na dół, wreszcie Wasyl przystanął.

— Tu są te drzwi... ale co słyszę? rzekł, tam oto głos... ha! głos... ojcze hetmanie, matka twa żyje... to jój głos!...

Mazepa zadrżał... zasłonił twarz i oparł się o ścianę. Chwilę tak stał nieruchomy, pogrążony w boleści, przywołując sobie na pamięć obraz matki, gdy po raz ostatni widział ją żyjącą... Potem wezwał towarzyszy, aby czekali i żeby nikt za nim nie wchodził, chyba, że zawoła.

To rzekłszy, otworzył drzwi i wszedłszy zamknął je za sobą. Smutnie patrzeli za nim jego towarzysze. Hetman, ów mąż, który wśród największej wrzawy wojennej, gdzie śmierć na każdym groziła mu kroku, nie zmrużył ani oka, — teraz szedł krokiem chwiejnym, słabym i ze łzami w oczach!...

Mazepa wszedłszy, ujrzał się w izbie jasno oświetlonéj. Zobaczył tam dwie niewiasty, jedną starą, odwieczną babinę, drugą młodszą. Pierwsza siedziała, druga stała obok siedzenia.

— Czyżby ta babka miała być moją matką?

Serce zabiło mu gwałtownie, a tak uczuł się słabym, że się musiał oprzeć o ścianę.

Wreszcie się opamiętał, i już chciał postąpić naprzód, kiedy go młodszą niewiasta spostrzegła i wydała okrzyk przerażenia.

Mazepa skinął ręką.

— Nie bój się niczego, niewiasto, rzekł, nie przybywam w złych zamiarach... Któż jest ta starszka?

Na to pytanie nie odebrał odpowiedzi.

— Jam jest Mazepa, rzekł hetman łagodnie, i szukam méj matki... Jest to ona?

Niewiasta upadła na kolana.

— O panie! zawołała, jam temu niewinna... Tak, to jest matka Mazepy... O panie, ale ona nieszczęśliwa... obłąkana...

Mazepa westchnął. Na skinienie jego niewiasta powstała, a widząc łzy w oczach Mazepy, pozbyła się wszelkiej bojaźni.

— Będzie mnie rozumiała? zapytał Mazepa po chwili.

— Rozum jój od dawna pogrążony w ciemnościach, rzekła, jest ona jak małeńkie dziecko, obdarzone mową, ale pozbawione myśli... Otóż, jak jój oczy patrzą wprost, a jednakże ona nic nie wie, dokąd je ma zwrócone.

Mazepa przystąpiwszy, ukląkł przed matką i ze łzami począł całować jój rękę. Zuzanna zdawała się wcale na to nie zważać.

Hetman zapłakał, a łzy jego potoczyły się po siwój brodzie.

— Matko! wykrzyknął namiętnie, matko, czyliż mnie nie poznajesz?

Zuzanna drgnęła.

— Matko? zawołała dziwnym głosem obłąkana, któż to tak woła?

W chwili gdy to mówiła, oczy jój zabłysły, tak jakby się ciemność w jój duszy rozdzierała.

— Matko! wykrzyknął znowu Mazepa, matko, to ja, syn twój, Mazepa!!

I znowu zadrgnęła Zuzanna, zwróciła swe oczy na klęczącego, wyciągnęła ręce ku niemu, i ostatniem wysileniem żywotnem wyrzekła:

— Mazepa, syn mój!

W téj chwili ręce jéj opadły, głowa przesunęła się w tył i Zuzanna żyć przestała.

Mazepa powstał. Spojrzał raz jeszcze na drogie sobie zwłoki, a potem wyszedł.

We dwa dni później oddał Mazepa ostatnią przysługę tyle kochanej przez siebie matce i pogrzebał jéj zwłoki na blizkim cmentarzu.

Wróciwszy z pogrzebu zabrał się natychmiast do powrotu.

— Chłopcy! rzekł do zgromadzonych Kozaków, mnie przeznaczenie moje powołuje napowrót do Benderu, lecz jeżeli który z was pragnie pozostać tutaj, niech zostanie.

— Ojczy hetmanie! krzyknął Iwan, gdzie ty, tam i my! Z tobą żyć i z tobą umierać!

— Z tobą żyć i umierać! powtórzyli inni.

— Dobrze chłopcy! zawołał rozczulony hetman, jeżeli tak, to dalej naprzód!

I wszyscy jak przyjechali, tak odjechali, z wyjątkiem Wasyla, który wracać do Benderu nie mógł.

Czemuż Mazepa wracał koniecznien do Benderu?

Albowiem on jeszcze ufał w gwiazdę szczęścia Karóla XII, który się starał o podburzenie Turcyi do wojny z Moskwą, a przy téj sposobności spodziewał się Mazepa dojść napowrót do władzy i zarazem urzeczywistnić ideę niezawisłości Ukrainy.

Już trzeciego dnia byli blizko Benderu, gdy

straż przednia rzuciła się w Dniestr, aby się przeprawić na stronę ukraińską. Za strażą i reszta przeprowiła się przez rzekę i cwałem pognąła dalej.

Wtem znienacka wypadł z boku oddział jazdy moskiewskiej.

— Héj, Kozacy! krzyknął Mazepa, owóz pohulanka. Chociaż ich dziesięć razy tyle co nas, damy sobie radę.

Po tych słowach, wspiąwszy konia, skoczył wprost pomiędzy Moskali, a reszta Kozaków za nim.

Rozpoczęła się straszliwa walka. Garstka Kozaków przemieniła się w tyłuż bohaterów i siała w kóło siebie śmierć i zniszczenie.

Ale Kozaków coraz ubywa... już tylko Iwan walczy kóło Mazepy... już i Iwan pada i tylko sam Mazepa walczy.

Sam! Moskale zaczynają mieć szacunek dla tak walecznego męża.

— Poddaj się! krzyknął dowódzca, sam widzisz, że opór twój na nic się nie przyda, a szkoda ciebie, boś jest mąż waleczny.

— Mazepa, hetman Ukrainy, nie poddaje się! zakrzyknął Mazepa i znowu natarł siłą.

— Mazepa! wrzasnęli Moskale i z wściekłością rzuciwszy się na walczącego, rozsiekali go w kawałki.

Tak skończył Mazepa, hetman Ukrainy. Pamięć po nim jednakże nie zaginęła, cała Ukraina śpiewa o nim pieśni, a sława jego brzmieć będzie w najpóźniejsze czasy.





86604/12/19

4 451-

WYŻSZA SZKOŁA  
PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
BIBLIOTEKA

131549

Biblioteka WSP Kielce



0145761